№ 26 Warszawa, dnia 19 Czerwca (1 Lipca) 1882 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

O najnowszej pracy pani Reichardt-Stromberg

W KWESTYI EMANCYPACYI KOBIET.

Kwestya emancypacyi kobiet pomimo tylu rozpraw i artykułów, bynajmniej nie jest wyczerpaną ani rozstrzygniętą. Widać tylko pewne znużenie tak w obozie zwolenników, jako też przeciwników, charakteryzujące się milczeniem.

Stan kwestyi emancypacyi dałby się określić w sposób następujący.

Zwolennicy, pod kierunkiem znakomitego myśliciela Stuarta Milla, żądają radykalnych zmian w ogólnej egzystencyi kobiet pod względem politycznym i socyalnym, powołując się na ich równomierne z mężczyzną uzdolnienie i z tego powodu przemawiają za bezwzględnem równouprawnieniem kobiet. Niegdyś uznane i przyjęte zdanie filozofii przyrody o „biegunowem przeciwieństwie rodzajów” zostało obalone, powołano natomiast do życia zasadę swobodnej konkurencyi, aby w ten sposób usunąć wszelkie zawady samodzielności kobiecej, ustanowić nowy kodeks praw i zwycięzko przeprowadzić walkę o uwolnienie kobiet z hańbiącej zależności i rzekomego „poddaństwa”.

Przeciwnicy emancypacyi powoływali i powołują się na *obowiązki* kobiety, które są zbyt lekko traktowane w przeciwnym obozie, lub też wprost zaprzeczane. Pierwszym i najistotniejszym obowiązkiem kobiety jest wychowanie dziecka. Ludzkość powierzyła kobiecie wzniosłe zadanie macierzyństwa, którego spełnienie wymaga olbrzymiego kapitału uczucia, myśli i czynu. Ten podstawowy obowiązek nie powinien i nie może być naruszony pod grozą uchylenia równowagi ekonomii wszechświata. A bywa naruszany, skoro kobieta wytwarza sobie inne pole działania, absorbujące jej uczucia, dążenia i czyny w odmiennym kierunku.

Spór ten w powyższej kwestyi zasadniczej nie ukończył się i jak to wspomnieliśmy sprawa emancypacyi kobiet zostaje w zawieszeniu.

Równouprawnienie kobiet, otwarcie wyższych zakładów naukowych i specyalnych, współudział ich w życiu politycznem etc. stracił na wziętości w wyższych i bogatszych sferach społeczeństwa i przeniósł się na krańcową lewicę, do stronnictwa socyalno-demokratycznego i ligi wolnomyślnych, które przyjęły te żądania kobiece w swe programy.

Klasy średnie zadawalniają się dzisiaj skutecznem rozszerzeniem zakresu pracy i uzdolnienia kobiet jako też szerszem zużytkowaniem ich pracy. Omijają one przytem starannie zaznaczoną a zasadniczą kwestyą obowiązku kobiety a usuwają jedynie doraźną potrzebę, wynikłą z trudnych warunków bytu.

W zasadzie, rozumni przeciwnicy emancypacyi przemawiają na równi ze zwolennikami za wyższem kształceniem kobiety, w razie potrzeby materyalnej dopuszczają ją do uczciwego zarobkowania, wszakże przeznaczają szerokiemu ogółowi kobiet i uważają za najpierwsze zadanie tychże macierzyństwo, które samo przez się wyklucza poświęcenie się kobiety innemu zatrudnieniu, absorbującemu zasoby sił intelektualnych i materyalnych na niekorzyść istotnego przeznaczenia kobiety.

Przeciwniczką emancypacyi jest również znana w Niemczech autorka pism polemicznych, pani *M. Reichardt-Stromberg*, której rozprawka: „Frauenrechte und Frauenpflichten”, wydana przed kilku laty, zrobiła autorce znaczny rozgłos. W tej broszurze staje autorka po stronie przeciwników emancypacyi kobiet, naznaczając im przedewszystkiem obowiązek macierzyństwa i wychowania dzieci.

Obecnie wyszła nowa broszura tejże autorki p. t. „Die Staatsbürgerin”, w której stawia kwestyą emancypacyi na gruncie najzupełniej oryginalnym i odmiennym od dotychczasowego. W tej nowej pracy omawia autorka kwestyą stosunku kobiety do społeczeństwa a przedewszystkiem do państwa.

P. Stromberg zastanawia się najpierw nad pytaniem, co wiąże sympatycznie kobietę wogóle, a więc i klas najniższych, ze społeczeństwem, z narodem, a względnie z państwem? I ma na to jedną odpowiedź: „Ksiądz”, konfesyonał, kazanie i nauki kościelne — oto jedyne nici wiążące kobietę z szerokiem społeczeństwem. Naród lub państwo są dla niej nieznane, a tylko olbrzymie potęgi, którym trzeba płacić gorzko zapracowany grosz i oddać syna do wojska. O poczuciu solidarności jednostki z narodem, o obowiązkach względem kraju i o ich chętnem pełnieniu—o tem wszystkiem kobiety z ludu i niższych klas, często nawet najwyższych, pojęcia nie mają lub też z grozą i oburzeniem wspominają, jak o smoku ogniem ziejącym.

Cóż dziwnego, pisze dalej autorka, że kobiety, tak pojmujące społeczeństwo i naród wychowywują dzieci bez poczucia obowiązków społecznych, że wpajają w młode serca jedynie to, co same ukochały t. j. uległość kościołowi i jego sługom. Gdyby kobiety-matki znały doniosłość obowiązków dla społeczeństwa i kraju, potrafiłyby w równej mierze wpoić je w swe dzieci, jak to czynią z religią.

Rozebrawszy gruntownie i oceniwszy sprawiedliwie ów dzisiejszy stosunek kobiety do społeczeństwa, stawia autorka przed nami kobietę taką jaką jej zdaniem być powinna — a więc obywatelkę państwa (Staatsbürgerin). Kobieta taka powinna być uzdolnioną do pełnienia wszelkich obowiązków wchodzących w zakres kobiecy, a więc

powinna być dobrą matką, wychowawczynią i gospodynią. A stanie się taką, gdy państwo i społeczeństwo weźmie jej wychowanie w opiekę.

„Póki będą istnieć szkoły i uniwersytety dla mężczyzn, w których się oni kształcą specyalnie i systematycznie na uczonych artystów, urzędników, oficerów i t. d., a nie będą utrzymywane takież niższe i wyższe zakłady naukowe dla kobiet, z którychby one wychodziły z całym zasobem wiedzy i nauki, potrzebnej w ich zakresie jako matkom i wychowawczyniom młodych pokoleń — do tej chwili każda rozumna kobieta musi oskarżać społeczeństwo o niewypełnienie ciążących na niem obowiązków."

Kwestya tedy wychowania jest tu owym kamieniem mądrości, który usunie wszelkie niedostatki dające się dziś odczuwać.

Zachodzi jednak pytanie w jaki sposób da się to uskutecznić. Autorka przedewszystkiem oddaje w ręce państwa wychowanie, żądając aby usunięto wszelkie, ale to bezwzględnie wszelkie różnice w wychowaniu elementarnem, podstawowem. W tym celu proponuje p. Strombergowa urządzenie szkół obowiązkowych, bezpłatnych, wspólnych dla wszystkich warstw społecznych, w którychby dziewczęta od 8 — 12 roku życia pobierały naukę sześciogodzinną dziennie. W nauce tej głównym przedmiotem byłaby praca ręczna a właściwie rzemieślnicza. Dziecko musiałoby się nauczyć sporządzać dla siebie wszystko, co do ubrania jest nieodzownie potrzebnem. Zanim dziewczęta rozpoczęłyby uczęszczać do tej szkoły, mogłyby wpierw odbywać szkołę niższą z trzechgodzinnym wykładem od 5 — 8 roku życia. Zaś po ukończeniu poprzednio wzmiankowanej szkoły byłyby również obowiązkowe aczkolwiek już płatne szkoły z dwuletnim kursem. Te ostatnie szkoły mogą być zastosowane do szczególnych potrzeb bądź kraju, bądź też stanu.

Następnie omawia autorka kwestyą szkół wyższych i specyalnych, służących bądź to do wszechstronniejszego wykształcenia, bądź też do łatwiejszego zarobkowania. Szkoły te wyższe nie mają być jednak obowiązkowe.

Ażeby szkoły obowiązkowe osiągnęły swój cel proponuje autorka ścisłą kontrolę. Świadectwo ukończenia takiej szkoły byłoby wymagane bez wyjątku przy każdej ważniejszej czynności — podobnie jak metryka a przedewszystkiem przy ślubach.

Obok kwestyi wychowania podnosi autorka nowy projekt, który ma na celu związanie kobiety ze społeczeństwem. Wychodząc z zasady, że miłość macierzyńska jest najważniejszą i naistotniejszą częścią życia kobiety, proponuje autorka zaprowadzenie płacy rocznej matkom. *Każda* matka bez wyjątku otrzymuje za *każde* dziecko, od chwili urodzenia tegoż aż do 15 roku życia pewną, oznaczyć się mającą, pensyą roczną na koszta utrzymania i wychowania dziecka — bądź od gminy, bądź też z kasy państwowej. Kwotę tę ma się uzyskać przez zaprowadzenie podatku rozłożonego na wszystkich mężczyzn czyto bezżennych czy żonatych, od 25 roku życia, do 55, a któryby starczył na koszta łożone na *jedno* dziecko. Więc z jednej strony rodzina dostawałaby przez 15 lat pieniądze na wychowanie dziecka, zaś z drugiej strony płaciłaby powyższy podatek przez lat 30. Rodzina mogłaby w ten sposób brać kwotę wychowawczą za kilkoro dzieci a płaci zawsze tylko za jedno dziecko.

Zdaniem jednego z przychylnych autorce krytyków p. Juliusza Duboc, projekt ten wpłynąłby bardzo korzystnie na materyalne stosunki klas niższych i posiada wiele przymiotów, gdyż nie nadwyrężałby równowagi ekonomicznej. Niższe bowiem klasy są o wiele liczniejsze i cieszą się znacznym przyrostem rodziny, gdy znów bogatsze i wyższe częstokroć cierpią na brak dzieci.

W dalszym ciągu autorka pisze, że jej projekt podatkowy zachęci mężczyzn do małżeństwa, które w przerażający sposób się zmniejsza, i że klasy uboższe z wiarą w lepszą przyszłość spoglądać będą.

Pieniądze na wychowanie dziecka podnosi z kasy tylko matka, a może się zrzec tylko w porozumieniu z ojcem. Zdaniem autorki umniejszą się w ten sposób liczne podrzucania, dzieciobójstwa i oddawania dzieci w cudzą opiekę, moralność istotna podniesie się znacznie, bowiem kobieta, otrzymująca pensyą na dziecko nie będzie tak skrępowana przez mężczyznę, jak to się dzisiaj praktykuje.

Przedstawiliśmy tu tę rzecz bezstronnie, streściwszy tylko broszurę p. R. Stromberg — tu tylko dodamy, że powyżej wzmiankowany krytyk podnosi wysoko wartość tej pracy i jest zdania, że plany te i projekta w przyszłości, przy zmienionych stosunkach społecznych, kiedyś się urzeczywistnią.

Podziela on tę dobrą wiarę wraz z panią Stromberg, która kończy swą pracę słowami: „Kobieta stanie się w ten sposób wolną, padną w proch więzy tysiącletniej niewoli, jak się to mówi ogólnie, zostanie emancypantką, nie straciwszy nawet na jotę cośkolwiek z swej kobiecości."

Co do nas uważamy ten projekt, jak na dzisiaj niemożliwym do wykonania, a nawet podjęcia, jest on zbyt radykalnym z jednej strony, a zbyt ścieśniającym osobistą wolność z drugiej strony, aby się stał możliwym w praktyce, lecz w każdym razie dość ciekawym, jako oznaka czasu i nowego prądu socyalnego.

Age.

PRZY FORTEPIANIE.

FANTAZYA.

Gdy z pod twej ręki w chwili natchnienia
Tony bogatą wiją się wstęgą,
Gdy rzewna piosnka, śpiew utęsknienia,
Brzmiąca łzą skrytą, westchnień potęgą,
Przechodzi w gorzkie wyrzutu fale,
I silna bólem, skargą namiętna,
Zda się powtarzać duszy twej żale,
Zawodu, krzywdy jakiejś pamiętna.
O! wtedy duch mój z ziemi wyrwany,
Na skrzydłach pieśni w niebo wzniesiony,
Wzbija się, leci, niepokalany,
Iskrą harmonii Bożej wiedziony!
I dziwne, dziwne, widzi tam cudy,
Jakby obrazy z chmurek utkane,
Lśniące tęczowym blaskiem ułudy,
Takie przeczyste, jasne świetlane.
W pośród słonecznych promieni koła,
Wznosi się postać, pieśnią stworzona,
Gwiazda geniuszu lśni u jej czoło,
Śnieżyste skrzydła, zdobią ramiona.

To *Młodość*, ufna w wzrok swój sokoli,
Zbrojna w szlachetne serca zapały,
Tkliwa, wierząca, spływa powoli
Ku światu, by go ukochać cały.
Ona go podnieść chce na wyżyny,
Utulić bóle, ukoić żale,
I uszlachetnić wzniosłemi czyny,
Ku jego szczęściu pracując stale.

Lecz co to? Tony z pod twojej ręki,
Tracą pogodę i dźwięczą łzami,
A moja postać, jak pieśni dźwięki,
Rwie się, szamocze z życia widmami!

Pierzcha już marzeń i złudzeń siła,
Ginie ponętny uśmiech proroctwa,
Zostaje wspomnień głucha mogiła
I żal tęsknoty i ból sieroctwa.
Tony się płaczą, ręka mistrzyni
W namiętnej skargi uderza nuty,
To walka życia, która uczyni
Z mego anioła, widmo pokuty.

Lecz czy ja tylko nie sądzę mylnie?
Ideał *Prawdy* orlą swą mocą,
Z *Dobrem* i *Pięknem* złączony silnie,
Nie może upaść pod złą przemocą.
O tak, — wszak słyszę tryumfu krzyki,
Spokojny odcień poważnej mowy,
Nie, — to ponury dźwięk twej muzyki,
To rzewny, cichy, marsz pogrzebowy.

I duch mój wzniesion na jego fali,
Spostrzega z bólem, w pośród ciemności
Widmo, z złamanem skrzydłem, w oddali
Z skrwawionem czołem, w miejsce światłości!
Stanęło. — W oczach po raz ostatni,
Zabłysnął promień bólu i wzgardy,
Anioł, co światu niósł uścisk bratni,
Słał mu już teraz zimny i twardy
Wyraz przekleństwa!

Lecz nie, on straszne powstrzymał słowo,
I ostatniego echo już brzmienia
Przeczystą, świętą harmonii mową
Poniosło szczytną myśl przebaczenia.

Natalia Krz....

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Bracia szlachta z początku brali mu za złe owo przedsiębierstwo, przepowiadali rychłą ruinę majątkową, zwali go dziwakiem i kręcili głowami, kiedy jednakże po kilku latach takiej pracy rozeszła się wieść o świetnych rezultatach, kiedy Stefan Mirski zamiast bankrutować, dwa majątki leżące pomiędzy wsią jego a Łękawą hrabianki Niny, nabył zaokrąglając tym sposobem dobra, i łą-

cząc je z sobą: kiedy wreszcie skorzystawszy z szerokich i wyborowych łąk i sprzyjającego położenia nad Rudawką, przeznaczył obie wsie nowonabyte wyłącznie na hodowlę koni i założył pierwszą podwalinę nowej rasowej stajni w kraju, powoli głosy niechętne musiały zamilknąć; zaczęto go podziwiać, stawiać sobie za przykład, szanować go i choć w gruncie rzeczy nie lubiono go — imponował.

Słysząc to wszystko opowiadane przez różnych i różnie — pragnąłem mocno poznać tego człowieka. Dotąd jednakże nie spotkałem go nigdy, gdyż zajęty bardzo na Polesiu, przyjeżdżał w nasze strony bardzo rzadko, a choć i przybył raz czy dwa razy przez te lat kilka, to właśnie zdarzyło się, że wyjechałem wtedy do krewnych moich w Krakowskie i jedyna sposobność spotkania go minęła mnie nieszczęśliwie.

Powiedziałem raz już, że dom hrabianki Niny Mirskiej był znany w okolicy całej: od niego też panie nasze szereg wizyt rozpoczęły. Moja Ukrainka w czarnym wizytowym eleganckim stroju, w ślicznym czarnym słomkowym bereciku, z kruczem fantazyjnie przypiętem skrzydełkiem, nasuniętym na czoło, wsiadła do karety tak swobodna i wesoła, jak gdyby urodziła się i wychowała na tym szerokim świecie, który jej jako nowość pokazać chciała Jenerałowa. Skoro ostatni raz ukłoniła się na pożegnanie i kareta zniknęła mi z oczu po za kląbami, stałem na werendzie pałacowej długo, rozmyślając nad tą dziwną naturą zawsze pewną siebie i niekrępującą się niczem. Ciekawy byłem jakie wrażenie uczyni na nią świat i ludzie, przy bliższem poznaniu? Czy ten wir życia światowego, tak niebezpieczny dla kobiet wogólności, porwie i ją jak wszystkie? Czy zasmakuje w tym odmęcie pełnym uroków? I ciekawy czekałem z upragnieniem powrotu pań z wizyty, badając potem usposobienie tego dziecka natury, wypytując ją o wrażenia, studyując każde jej słowo, grę twarzy, rys każdy. Przyjechała dziś, jak przyjechała później z dwudziestu pięciu wizyt następnych: wesoła, rozpromieniona, rozradowana dobrocią ludzi, artystyczną muzyką, którą słyszała w domu państwa P., obrazem Suchodolskiego, który widziała w galeryi pani R., kaskadą w parku państwa X., arabskim koniem pana A., bo nosiła radość w sobie i rozpromieniało ją wszystko. Ludzie nie zrobili jej nic złego, uważała ich wszystkich za dobrych i lubiła ich.

Ile też razy Jenerałowa podała projekt wyjechania gdziekolwiek, Ksenia przyjmowała go ochotnie. Pomimo to wszystko spostrzegłem, że największą jej przyjemnością było obcowanie z naturą. Najszczęśliwszą czuła się wtedy, gdy skończywszy lekcye muzyki i rysunku, dosiąść mogła swego szalonego Burana, który już teraz jak pies za nią chodził gdziekolwiek się ruszyła; albo wsiadła do łódki, wypłynęła za szerokie jezioro znajdujące się pod lasem w polu, i złożywszy wiosło na środku jeziora, kołysała się tak pomiędzy trzcinami otaczającemi wodę zielonym rąbkiem, godzinami całemi przysłuchując się krzykom wodnego ptactwa, przyglądając się szczebiotliwym jaskółkom wijącym się w kręgi po nad falami, lub srebrzystym, drobnym rybkom, zbiegającym się zewsząd do łodzi, z której im często rzucano pożywienie.

Oprócz tego, wynalazła sobie jeszcze jedną rozrywkę, niekoniecznie stosowną dla każdej innej kobiety, ale z jej istotą licującą doskonale.

Pewnego dnia wstałem bardzo wcześnie. Nasz borowy Franciszek zameldował mi właśnie dzień przedtem, że na jeziorku pośród lasu wylęgło się duże stado kaczek i trzeba im będzie matkę odstrzelić, aby nam stada nie uprowadziła.

Kazałem mu nazajutrz rychlutko przyjść po siebie, aby mnie zaprowadził do lasu i miejsce gdzie stado żeruje wskazał. Słońce dopiero co zeszło i opary z ziemi wstawały, gdy już z dubeltówką przewieszoną przez plecy, w towarzystwie Franciszka i psa Ajaxa, przechodziłem przez park w pole. Mijając boczne skrzydło pałacu, ujrzałem okno w pokoju Kseni już otwarte i moja Ukrainka, która zawsze równo ze skowronkami zrywała się ze snu, zapytała nas: dokąd idziemy tak rano?

Odpowiedziałem gdzie i po co.

— Czekajcie! — zawołała zamykając okno, i za chwilę wybiegła z pałacu, w rannej bluzie i dużym słomkowym kapeluszu, na rozrzuconych w czarownym nieładzie warkoczach płowych.

— Pójdę z wami! rzekła odbierając z rąk Franciszka moją torbę myśliwską i przewieszając ją sobie przez ramię. Przekładałem jej, że to za daleko, że ranek za chłodny, że się zarosi, zamoczy. Odpowiedziała mi śmiejąc się: że ona na rosie wyrosła i na rosie wyhodowała się taka duża, że już teraz czubkiem głowy mnie przerasta, choć wcale nie należę do małych?

Nie było co z nią robić, podałem jej ramię i poszliśmy na polowanie. Zabiliśmy kilka kaczek kilka kulonów, jednego wodnego bąka; strzelałem także do dużej czapli, ale moja faworytka trąciła mnie w łokieć w samym strzale nie pozwalając zabić tego hetmańskiego ptaka. Około południa powróciliśmy do domu zgłodniali, zmęczeni, zroszeni, ale w wybornych humorach i odtąd Ksenia zasmakowała tak w tej rozrywce, że ile razy wziąłem za strzelbę, dziewczyna stała już gotowa towarzyszyć mi w wyprawie, nosić za mną torbę, wyszukiwać zabitą zwierzynę, znosić ją z pomiędzy trzciny i szuwaru, skacząc lekko jak chochlik z kępy na kępę, po bagnach i grzęzawiskach, przystępnych, tylko jej maleńkim nóżkom. Wkrótce przecież bierna rola spektatorki znudziła się ekscentrycznej Ukraince, zapragnęła strzelać sama. Zamieniliśmy zatem role: musiałem jej broń nabijać, uczyć celować z początku z mego ramienia, potem z wolnej ręki, najpierw do celu który oznaczałem jej na gałęziach, później do zwierzyny, a kiedy wreszcie udało się jej ubić pierwszą wronę zabrała mi głaszcząc po twarzy i nadając tysiące słodkich, pieszczotliwych nazwisk, moją ulubioną dreysówkę, która była najlżejsza i najprzykładniejsza z całego pałacowego arsenału i odtąd chodziliśmy na polowanie pro forma, w dwie flinty. A skoro jesień z właściwą porą polowania nadeszła, dzień św. Huberta zastał ją już strzelająca jak stary myśliwy i kiedyśmy czasem dla zabawy robili zakłady strzelając do celu, uczenica moja przestrzelała mnie za każdą razą, ku wielkiej uciesze Franciszka gajowego i jej własnej.

Jenerałowa na to nowe szaleństwo siostrzenicy uśmiechała się z dobrotliwą pobłażliwością, a kiedy czasem patrząc na naszą amazonkę, jak wesoła i zarumieniona ruchem i powietrzem, zarzuciwszy strzelbę na plecy dosiadała Burana, nazywała ją nowożytną Dyaną, żartując z jej nawyknień i zamiłowań czysto męzkich a wtedy dziewczyna rzucała się ciotce na szyję.

— Daruj mi ciociu to wszystko — mówiła całując jej twarz pomarszczoną, różowemi jak listek świeżo rozwinięty centofolii ustami — wiem, że jestem szaloną waryatką, ale to już natura moja taka. Cóż chcecie — dodawała — wiecie przecież jaka była młodość moja, chował mnie stary kozak, który gdy na chutorze kolebki dla niemowlęcia nie stało, wyniósł ze zbrojowni ojca starą zbroicę zaporozką, i napierśnik jej zawiesiwszy u pułapu chaty, w tej kołysce ułożywszy dziecinę, usypiał ją pieśniami Neczai i Pawluków, Sulimów i Swirgowskich. I miałże w ten sposób nie wykołysać kozaczki? I miałamże wyrość inną wyssawszy naturę tę z mlekiem mego kozaczego ludu?

* * *

Rok już minął od przybycia w dom Jenerałowej sieroty z Ukrainy. Lato całe i jesień przeżyliśmy jak w wirze.

Ludziska, którzy zawsze czcili Jenerałową i garnęli się do niej, a tylko szanując jej wolę i smutek z jakim usunęła się do świata na czas pewien, przestali bywać w Młynach, teraz ujrzawszy drzwi jej ulubionego przez okolicę całą domu, otwarte dla siebie nanowo, napływali doń ochotną i wesołą falą tak, że od czasu gdy nasza zacna staruszka ukończyła wizyty, rzadko który dzień pozostaliśmy bez gości.

W październiku skończyła się żałoba, Kseni i teraz dopiero piękność dziewczęcia ukazała nam się w całej swej potędze. Posiadała ona dar kobiet wschodu, umiejąc nie spojrzawszy w zwierciadło, bez myśli o podniesieniu urody, bezwiednie prawie, przystroić się czemśkolwiek, jakimś kwiatkiem, wstążką, udrapować się kawałkiem amarantowego lub białego kaszmiru narzuconego na płowe warkocze tak artystycznie i fantazyjnie zarazem, że w każdej chwili służyćby mogła za wzór dla pędzla malarza. Nawet ksiądz Osowicki, który zwykle po za swoim brewiarzem i tabakierką nie widział nic zgoła, ujrzawszy ją raz w koronkowej mantyli Jenerałowej, którą sobie wśród śmiechów i figli z panną Skarzyńską, narzuciła na głowę i na sposób hiszpański zfałdowawszy, spięła białą kamelią na ramieniu, dwa palce ze szczyptą tabaki zatrzymał w połowie drogi między nosem a tabakierką i kiwając niemi do tej swej powiernicy ostatniej, rzekł ścicha:

— To dziecko jest arcydziełem.

Adwent i święta Bożego Narodzenia przeszły nam spokojnie. Po świętach dopiero układało się kilka wieczorków, kilka zebrań w okolicy i na pierwszy oznaczony na dzień Trzech Króli, odebraliśmy zaproszenia od hrabianki Niny. Miało to być większe zebranie, nie bal kompletny ale wieczór tańcujący, który hrabianka wydawała ze względu przybycia siostry swej z córkami, dwoma młodziutkiemi, ładnemi dziewczynkami.

Jenerałowa dawno już umówiła się z hrabianką Niną, że dzień wystąpienia jej siostrzenic będzie zarazem wystąpieniem Kseni, która także jeszcze w maju skończyła lat szesnaście.

Gdy około ósmej wieczorem, w dzień Trzech Króli, zeszedłem do środkowego korpusu pałacowego, zastałem nasze panie wszystkie już ubrane i właśnie w głównym salonie, panna służąca pod dyrekcyą samej pani przypinała jakieś bladoróżowe powoje na błękitnej sukni panny Skarzyńskiej.

Obejrzawszy ładną i gustowną toaletę nauczycielki zapytałem o Ksenię.

— Jest w moim pokoju, odparła Jenerałowa poprawiając jakąś gałęź kwiatów opadającą zbyt nizko na ogon sukni panny Heleny: idź ją pan zobacz.

Wszedłszy do sypialni Jenerałowej, zastałem moją Ukrainkę stojącą przed wielkiem, oświetlonem z dwóch stron kilkoramiennemi świecznikami lustrem.

Po raz pierwszy od czasu pobytu jej u nas zo-

baczyłem ją przyglądającą się sobie — i zatrzymałem się przy drzwiach cicho, chcąc się jej przypatrzyć w tej nowej przemianie.

Miała na sobie na długiej białej atłasowej suknię srebrzystą gazową ubraną narcyzami białemi, błyszczącemi, niby skropionemi rosą poranną. U stanika niezbyt wyciętego, przy pysznym biuście miała bukiecik takiż i jeden narcys we włosach płowych, zebranych z cudowną prostotą na tyle głowy, w jeden węzeł na wzór greckich posągów. Stała przed zwierciadłem, trzymając w jednej ręce bukiet świeżych kwiatów, w drugiej biały błyszczący wachlarz i przyglądała się sobie rozjaśnionemi, zadziwionemi prawie oczami. Była w tym obłoku srebrzystym, który owiewał jak mgłą, idealne kształty jej kibici, w tej długiej szacie udrapowanej i odrzuconej aż na środek pokoju, w blaskach ubrylantowanych kwiatów i z tem zadziwieniem na twarzy, piękną jak sen!

Kiedy się zbliżyłem, obróciła na mnie swe gwiaździste oczy.

— Jestem piękną, prawda? zapytała mnie swobodnie.

— Podobasz się panno Ksenio sama sobie?

— Podobam się i panu, wiem o tem dobrze!

— Znakomita pewność siebie! Zkąd pani wie o tem?

— Z oczu pana! odparła najswobodniej biorąc w rękę stojący na stole świecznik i obracając się bokiem do lustra, aby lepiej przyjrzeć się sobie z tyłu.

— Nie bądź pani tak zarozumiałą, bo zbrzydniesz, odparłem. Wszystko to sztuczne... Podnosi panią strój, kolor biały, niezwykła forma sukni, ożywienie nadzieją zabawy, wszystko! Atmosfera balowa upięknia najpospolitsze twarze kobiece. Nie jesteś taką zwykle jak dzisiaj.

Dziewczyna podeszła tuż do mnie i poświeciła mi kandelabrem w oczy.

— Mój ty stary, zmyślasz! rzekła mi także bardzo seryo. Jesteś hipokrytą i chcesz mnie nauczyć tego samego. Powinnam może podług waszego tu regulaminu spuścić oczy i zarumienić się, ale darmo! takich łamanych sztuk ja nie potrafię. Co jest ładne, to ładne — czy to ja, czy nie ja, powiem zawsze, że ładne! Chciałabym żeby mnie teraz zobaczyli Hordij i Warwara — dodała na raz trochę tęsknie, powracając na swe stanowisko przed zwierciadłem. Nie poznaliby teraz swojej dytyny!

Zapytałem jej, czy się nie lęka tego pierwszego wystąpienia w świecie tak jej nieznanym.

— Czego? Alboż to co strasznego? Jestem przecież dobrze ubrana i to gustem mojej ukochanej cioci, w którą pod tym względem, okolica cała wierzy jak w wyrocznię. Uczyłam się tańczyć przez całą jesień i znam gimnastykę wybornie, mam więc nadzieję, że w tańcu nie padnę, a gdyby zbywało mi na tancerzach, to przecież ciebie mój staruszku mam w odwodzie! dodała śmiejąc się wesoło.

Gdy patrzałem na tę olśniewającą piękną postać, tak swobodną i pełną prostoty, wszystkie moje dawne obawy i niepokoje opanowały mnie nanowo. Żal mi było tego czarownego dziecka, że już wydajemy je na łup światu i wyszedłem od niej trochę smutny i markotny—powróciłem do Jenerałowej.

Moja szanowna przyjaciółka wystroiwszy pannę Skarzyńską, ubrana już w bogate okrycie, naciągając na ręce jasne rękawiczki, czekała na zajść mającą lada chwila karetę. Gdy mnie ujrzała uśmiechnęła się lekko.

— Dobrze wygląda? rzekła zadowolona.

— Za dobrze pani! odparłem. Aż lękam się tej piękności.

Jenerałowa się roześmiała.

— Otóż mężczyzna! my kobiety lękamy się tylko wprowadzać w świat panny brzydkie.

— Czy to tylko nie zawcześnie, czy nie zawcześnie? pytałem markotnie.

— Nie zawcześnie! żywo zawołała staruszka. Miałam właśnie lat tyleż, gdy byłam na pierwszym balu i jak widzisz nie zepsuł mnie świat ten, ani mi nie popsuł życia! Zresztą, mam już lat sześćdziesiąt pięć i kto wie, czy dni moje nie są już policzone. Pragnę ją wprowadzić w świat póki mogę jeszcze i śpieszno mi!

— Ha — odparłem — puszczamy na pełne morze korwetę piękną, dobrą, posiadającą ster, maszty, żagle, ale nie zabezpieczyliśmy jej od stracenia równowagi... nie posiada balastu! Cóż będzie jak wpadnie na złe wiry?

— Fe! przerwała mi Jenerałowa, robisz się coraz więcej marudny i dziwaczejesz!

W tej chwili do salonu weszły panny i kareta stuknęła na podwórzu, ucichłem i za chwilę sprowadzałem panie do powozu. Gdy wsadzałem do karety moją Ukrainkę, która zawinięta w biały burnus, z zarzuconym na głowę kapiszonem, stojąc na stopniu zanuciła sobie na rachunek przyszłej zabawy, kilka taktów hulaszczej jakiejś prysiudy, mimowoli powtórzyłem półgłosem:

— Nie ma balastu!

— Czy pan studyuje marynarkę? zapytała śmiejąc się Ksenia.

— Pan Seweryn marudzi! odparła Jenerałowa.

— Zamawiam pana do drugiego mazura! rzuciła mi dziewczyna w chwili gdy kareta ruszyła. Usłyszałem jeszcze głos Jenerałowej i śmiech obydwóch panien z powozu, wszystko to jednakże wcale mnie nie rozchmurzyło i bynajmniej nie w balowem usposobieniu, wsiadłem do stojących sanek, które mnie z wielkim dźwiękiem i brzękiem poniosły śladem karety.

Skorośmy przybyli do Łękawy, było już około dziesiątej, i wszystkie okna dworu płonęły jasnem światłem, w którem przez przejrzyste koronkowe zasłony widzieliśmy przesuwające się liczne, strojne cienie.

Przeprowadzeni przez służbę, która literalnie zapełniała jasno oświetloną i kobiercami ubraną sień i wschody w pierwszym pokoju, za przedpokojem spotkaliśmy sędziwą i uprzejmą gospodynię, która poprowadziła nas do niewielkiego przyległego gabinetu, gdzie zebrane było towarzystwo starsze, podczas gdy młodzież w dwóch salonach od ogrodu tańczyła po dźwiękach sławnej żydowskiej muzyki.

Po wstępnych prezentacyach i powitaniach, Jenerałowa zajęła miejsce pomiędzy poważniejszemi damami. Ja także znalazłem tutaj kilku znajomych obywateli, z którymi zaraz na wstępie nie siadając wcale, usunąwszy się tylko nieco ku oknu, aby nie przeszkadzać paniom, ucięliśmy żwawą i gwarną gawędkę. Podczas tego hrabianka Nina zawiązawszy rozmowę z Jenerałową, ująwszy nasze panny za ręce, uprowadziła je do dalszych, suto oświetlonych salonów, zkąd rozlegały się ochocze dźwięki muzyki, zmieszane z głośną komendą mazurową jakiegoś raźnego warszawiaka.

(D. c. n.)

MARYA STUART

W HISTORYI I W LITERATURZE.

Napisał

ZORYAN.

(Dokończenie.)

Mówiąc o scenie spotkania się w akcie trzecim, nie możemy przemilczeć, że ona jest fikcyjną. W rzeczywistości dwie rywalki nie widziały się nigdy. Elżbieta stanowczo wzbraniała się widzieć z Maryą przed uniewinnieniem — a wiadomo również z historyi, że wolną od zarzutu w jej oczach nie była Marya nigdy. Zapytać więc każdy może, jak Schiller, u którego ścisłość historyczną podnosiliśmy, mógł użyć faktu zmyślonego do tak stanowczego momentu w dramacie? Rzecz ta daje się wytłomaczyć najpierw ową wolnością, która przysługuje poetom dramatycznym w scenicznem odtwarzaniu dziejów, powtóre koniecznością. Ta ostatnia dwojakiej jest natury; oto najpierw nie rozumiemy, jakby można rozwiązać dramat, w którym z sobą walczą dwie kobiety, nieznające się wcale, walczące przez posłów; powtóre dla samej ścisłości historycznej nie mógł poeta inaczej przedstawić w całości stosunku Elżbiety do Maryi. Wiadomo, że obie się nienawidziły, osobliwie Elżbieta w tem uczuciu górowała, a tę swoją nieprzyjaźń wyjawiły otwarcie w listach, które do siebie w różnych dobach pisały; faktu tego Schiller pominąć nie mógł, lecz jakże się z nim uporać? Wszystko to, co wchodziło w politykę, przeprowadza poeta w sztuce całej, wprowadzając w akcyą dowódzców i polityków, lecz uczuć *osobistych* tym sposobem nie mógł skreślić. Do ich wypowiedzenia potrzebował koniecznie spotkania się osobistego dwóch rywalek; wtedy mógł okazać Maryą i Elżbietę jako kobiety — nie jako monarchinie.

Uważamy za konieczne nadmienić tu, że pod ścisłością historyczną u Schillera, o której tylokrotnie wspominaliśmy, nie rozumieliśmy i nie rozumiemy bynajmnie cytowania faktów, lecz wierne odtworzenie ducha dziejów, niesfałszowanie nigdy idei historycznej.

Scena spotkania w akcie trzecim jest punktem kulminacyjnym dramatu, jest ona przytem najdoskonalej zbudowana i najwięcej ma życia. Nic też dziwnego bo w niej odsłania Schiller najzupełniej dwie natury ludzkie: Maryi i Elżbiety. Mówiliśmy poprzednio, że autor indywidualności odsunął na drugi plan, że uczuciom nie pozwala wybijać się nad interesa ogółu. W jednej, jedynej scenie spotkania nikną wszystkie dotychczasowe cechy dramatu, a uczucia wylaniają się w całej pełni. Zaraz po pierwszych słowach spadają z jednej i drugiej strony koturny królewskie, naprzeciw siebie stoją tylko dwie kobiety, które się całem sercem nienawidzą.

Elżbieta okazuje się bardzo złośliwą, a w swych naigrawaniach nizką jest i w całem zachowaniu nic dumy nie ma. Taka, jak stoi przed Maryą, mogłaby być doskonałym typem uzurpatora, na którego twarzy zamiast wzniosłości, wyniosłość, w słowach pyszałkowatość, a w obejściu ani śladu królewskości.

Jakże świetną natomiast jest Marya. Wszystkie cierpienia, tyloletnie upokorzenia były dla niej próbą ognia, nie upadła w niej, lecz wzniosła się szlachetnie. Poczucie własnej niewinności

wobec Elżbiety dodaje jej godności; cierpienia, co zahartowały duszę, użyczają mocy słowom, które strumieniem płyną z jej ust. Deptana szyderstwem, a jednak silna prawdziwą wyższością, ciska wreszcie Elżbiecie w oczy słowa, które jej całą pychę zdruzgotały:

Gdyby praw świętość rządziła tą niwą,
Byłabyś przede mną zmiatała kolanem,
Bom ja tu królem i ja twoim panem!

Po tej scenie wszystko powraca do dawnego trybu, znów względy polityczne biorą górę, znów walka o byt religii (acz także w celach osobistych podejmowana, bo od utracenia religii protestanckiej zawisł byt Elżbiety) i państwa na pierwszy wychodzi plan. Uczucia indywidualne słabem tylko odzywają się echem, a z niemi słabnie także interes dramatyczny, choć, jeszcze raz powtarzamy, artyzm budowy dramatu umie do pewnego stopnia zawsze obudzić zajęcie.

Dla dopełnienia słówko jeszcze o dwóch głównych charakterach.

Z uwag rzuconych tu i owdzie poznaliśmy już Elżbietę i Maryą. Mówiliśmy, że poeta, pojąwszy myśl przedstawienia walki dwóch idei, musiał wszędzie wyraźnie zarysować kontrasty. Widzimy to w postaciach, wpływających na akcyą zdala; charaktery Elżbiety i Maryi są również dokładnie wycieniowane.

Elżbieta, wychowana w twardej szkole, bo więziona przez swą siostrę, Maryą angielską, zdobyła tę moc woli, którejby jej pozazdrościć mogli najpierwsi kanclerze i wielkorządzcy. Zimna i wyrachowana, nie powoduje się nigdy uczuciem, ani namiętnością. Raz tylko widzimy ją bardziej ożywioną, gdy wybucha nienawiścią ku Maryi, ale i to nie jest namiętnością, lecz strasznem szyderstwem, zaprzężonem do wozu osobistych widoków, dążenia do władzy. To pastwienie się na pokonanym fizycznie nieprzyjacielu.

Zwracaliśmy już poprzednio uwagę, na dziwną naturę jej miłości i nazwaliśmy ją słusznie chybioną — teraz dodajemy, dlaczego ona taką była. Poeta chciał taki, a nie inny mieć charakter historyczny, chciał przedstawić kobietę bez serca, igrającą z sercem drugich i szydzącą z uczucia. Główną jej cechą jest obłuda, fałsz. Nie stąpa drogą prawą, lecz chce by tego nie widziano i dlatego używa innych za narzędzie do swych niegodnych czynów w rzeczach mniejszych, tam zaś, gdzie idzie o sprawy tak ważne, jak skazanie siostry — królowej, zasłania się żądaniem, presyą narodu.

Inną jest Marya. Namiętna w całem swem życiu, nie umie i nie chce namiętnościom się bronić. Namiętności też musi przypisać całe swe nieszczęście. Wina jej wielka — wielkie też cierpienie, lecz co jej charakter bardzo podnosi, to otwartość, z jaką się do winy przyznaje:

Jam szła młodzieńczych, ludzkich błędów torem;
Władzą zepsuta, win nie kryłam światu
I pogardzałam fałszywym pozorem,
Z szczerością, godną mego majestatu.
Świat wie najgorsze — a ja bez obawy
Mogę się mienić lepszą od mej sławy.

KONIEC.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Śmierć Muffetysza. — Jesienna kompania Karola XII i Augusta II z roku 1704. — Matki i karmicielki. — „Em-Ka" Józwa Szymczak.

P. Stefan Marusiński dał nam w odbitce z „Wędrowca" bardzo zgrabnie i zajmująco nakreślony obrazek z oryginału fracuzkiego: „Śmierć Muffetysza, opowiadanie egipckie" (Warszawa 1882 r. str. 48). Jest to opis ostatnich chwil życia Izmaił Sadyka, brata mlecznego Izmaiła baszy, wice króla Egiptu, który jako syn fellaha doszedł do najwyższej godności bo muszyra (feldmarszałka), który dnia 10 listopada 1876 r. z rozkazu kedywa porwany na statku wiozącym go w górę Nilu otruty, u wyspy Rhoda w nurty rzeki wrzucony został.

Opowiadanie napisane żywo i barwnie, czyta się z wielkiem zajęciem, przyczem objaśnia nas o smutnych stosunkach w jakich rządy Izmaił baszy w Egipcie znajdowały się.

Niemniej a może i więcej jeszcze zajęcia budzą w nas dzieje: „Jesiennej kompanii Karola XII i Augusta II w r. 1704, Kazimierza Jarochowskiego". (Ustęp z III tomu Dziejów panowania Augusta II, odbitka z XI Tom. Rocznika Tow. Przy. Nauk Pozn. Poznań 1881 r. str. 33.) Rzecz niewielkich rozmiarów lecz napisana z całą werwą i właściwą p. Jarochowskiemu twórczością. Począwszy od dnia 9 października aż do końca listopada 1704 r. śledząc dzień za dniem niemal p. Jarochowski daje nam jak najdokładniejszy lecz zarazem najsmutniejszy obraz kampanii, widownią której była cała Polska. Postać Augusta II występuje tu w świetle właściwem, który panując w Polsce dla zabawki, dla zabawki także z niesłychaną lekkomyślnością i nieudolnością prowadził wojnę z Karolem XII, przyczyniając się do zubożenia kraju i zdemoralizowania narodu.

Smutne te tak prawdziwe dzieje, ujęte w formę opowiadania zasługują na polecenie.

W zeszłorocznej seryi wydawnictw E. Orzeszkowej (Wilno 1881 r.) wyszło także dziełko p. Antoniego Skórkowskiego z Medowatej na Ukrainie pod tytułem „Matki i karmicielki" (str. 34). Roz prawę powyższą, napisaną bardzo przystępnie, opartą na poważnych studyach takich uczonych i lekarzy jak: Trommera, Henlego, Grubera, Brückego, Vernois, Bout'a, Hofmana, Spencera i t. d., nie możemy jak tylko szczerze zalecić młodym matkom, które po przeczytaniu tej pracy przekonają się jak fatalnemi są skutki z powierzania niemowląt do wykarmiania mamkom. Pan Skórkowski w pracy swej dał nam rzecz bardzo pożyteczną i pożądaną tembardziej że nie wdając się w długie uczone wywody i rozbiory, przedstawia rzecz całą treściwie i przekonywająco.

Czytelniczkom zapewne znaną była poetka Marya-Elżbieta Kamińska, która w rozkwicie młodości zeszła z tego świata. Otóż p. Jakób Goldszmit znany autor życiorysu „Stanisława Staszica", „Dramatu rodzinnego" i t. d. nakreślił wspomnienie poświęcone pamięci zmarłej poetki „Em-Ka (Marya Elżbieta Kamińska). Wspomnienie biograficzne. Lublin 1882 r." (str. 12), w którem bardzo barwnie i z żywem uczuciem nakreślił życiorys przedwcześnie zmarłej, przeplatając go nietylko własnemi wspomnieniami z czasu pobytu swego w Ciechocinku (1877 r.) lecz i przytaczając kilka celniejszych utworów poetki jak „Improwizacya", ustępy „Marzenie", „Na schyłku życia" i t. d. Wspomnienie biograficzne zakończone jest wdzięcznym wierszykiem ułożonym na śmierć poetki, przez p. Goldszmita. Dla osób, które miały bliższe stosunki ze zmarłą, wspomnienie p. Goldszmita stanowić może miłą pamiątkę po poetce, która tak rychło podążyła szuzać „spokoju pod darnią z zielonego mchu".

Od czasu jak potrzeba zmusiła nas myśléć więcej o ludzie i jego potrzebach, tak też znaleźli się autorowie którzy mniej lub więcej szczęśliwie studyować poczęli życie naszego ludu. Rezultatem tych studyów były też prace tego rodzaju jak: „Chata za wsią", „Jermoła", „Szkice węglem", „Bartek zwycięzca" i t. d. W ślady Kraszewskiego, Litwosa i Prusa w ostatnich czasach zapragnęła wstąpić E. Orzeszkowa pisząc powieść „Sylwek Cmentarnik" a teraz znowu i p. Walerya Marrené napisawszy nowellę „Józwa Szymczak", (Warszawa 1882 r. str. 40).

„Józwa Szymczak" niegdyś przed laty kilku dzielny i pracowity parobczak ożeniwszy się z miłości z Jagną najpiękniejszą dziewką we wsi, osiadł na gospodarstwie i pracując już lat siedm żyli spokojnie i uczciwie, lecz oto Jagna zaczęła chorować, podupadać na siłach, kaszel złowrogi i febra z dniem każdym stawały się coraz groźniejsze i „codzień trudniej jej było zwlec się z łóżka i podołać robocie". Zrazu też Józwa sprowadzał lekarki, które raiły różne zioła, zażegnywały chorobę, lecz wszystko to nic nie pomagało i cierpienie z coraz większą gwałtownością wzmagało się. Józwa zaczął na pocieszenie w swej doli zaglądać do karczmy, zaniedbywać gospodarstwo, wszystko się też zmarnowało, bieda zaczęła zaglądać do chaty a karczmarz już nie chciał Józwie dawać więcej wódki, soli i innych potrzeb bez zastawu.

Zapasy jakie były wyczerpały się zupełnie, głód i nędza zajrzała w oczy Józwie, Jagnie i ich trojgu małym dzieciom. Nareszcie dnia pewnego Jagna poczęła dogorywać i nie mogła więcej już zwlec się z pościeli na którą legła. Józwa wpadł w rodzaj odrętwienia, z którego pewnego wieczora wyrwała go mała Zochna, krzycząc że matka się nie rusza i zimna jest jak lód. Józwa słysząc to zbliżył się do żony i przekonał się że dawno już życie z niej uleciało. Rozszalały bólem i rozpaczą wybiegł z chaty, wpadł do karczmy i oddawszy żydowi swą czapkę wypił półkwaterek mocnej wódki, która sprawiła, że z powodu iż nic nie jadł od dnia poprzedniego, lub też może z przyczyny rozstroju moralnego, upił się tą małą ilością, tracąc niemal przytomność i w tym stanie opuścił karczmę. Usłyszawszy dźwięk dzwonu kościelnego, wzywający na Anioł Pański, przypomniał sobie o śmierci Jagny, że trzeba się zająć pochowaniem jej ciała, że na to potrzeba mieć pieniądze a on i grosza nie ma, i że we względzie pogrzebu musi się rozmówić z proboszczem.

Z myślami też podążał ku plebanii drogą prowadzącą koło dworu.

(D. n.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 lipca 1882 r.

Wyścigi konne powtarzają się w Paryżu co tydzień, zacząwszy od marca, ale czerwcowe dopiero ściągają cały świat elegancki; można je nazwać prawdziwą wystawą mody letniej. Byliśmy w tym roku na tych godach: pogoda sprzyjała w całem słowa znaczeniu, można więc było przypatrzyć się dowoli strojom wytwornych Paryżanek. Cośmy widzieli powtórzymy tu wiernie.

W ubraniu kapeluszy kolor żółty równoważył się z pąsowym, powiedzmy tylko, że tak jeden jak drugi ma rozmaite, całkiem nowe odcienia, a ztąd i rozmaite nazwy. Żółty wpadający w różowe zowie się *Clicquot mousseux*, *Flame du Bengale*, *Tokay*; kolor pąsowy ma zwykle odcień koralowy lub płomienisty, albo też ciemno *caroubier*. Wogólności wszystkie kolory zachodzą w jakiś ton fałszywy: do najmodniejszych należy lilla *zwiędły*, zielony zżółkły (*vert mourant)*, z ciemnych zaś tabaczkowy, oliwkowy, stalowy, szafirowo-zielonkowaty. Wiele uważaliśmy sukien fularowych i muszlinowych, na tle perłowem, śmietankowem lub blado niebieskiem, w wielkie różnobarwne bukiety. Spódniczka do tego zwykle gładka, ozdobiona wolantami z odpasowanym szlakiem. Turniury bardzo rozniesiste tak w tyle jak po bokach.

Gładkie suknie czy to jedwabne czy wełniane, ubierają szpagatową koronką, z takiejże koronki bywa do nich kapelusz i kołnierz wielkich rozmiarów, zarówno jak wykładane mankiety.

Po tych ogólnych uwagach dodajemy tu opikilkunastu całkowitych toalet, które szczególną zwracały na siebie uwagę.

Suknia błękitno-popielatawa (*gris de lin)* morowa w atłasowe paski, u dołu spódnicy wielka riusza, polka bez garnirunku, odwinięta do tyłu, podpięta na wielką kokardę. Kapelusz blądynowy, w śmietankowym odcieniu, z mantylą spadającą na włosy, z bukietem bzu w niebieskawym kolorze.

Kostium z fularu *surah* w drobną krateczkę w kolorze wydrowym, pomiędzy wolancikami fularowemi dawane naprzemian batystowe haftowane, w kolorze niewarowym. Polka przystrojona stosownie. Kapotka do tego z koronki szpagatowej, ubrana blademi różami, kołnierz szpagatowy, takież mankiety wyłożone do łokcia, rękawiczki duńskie długie, parasolik *loutre* obszyty koronką szpagatową.

Trzecie ubranie: polka czarna z blądyny hiszpańskiej, na spódnicy atłasowej, przymarszczonej w poprzek, z blądynowemi wolancikami. Od szyi wzdłuż stanika, wielki bukiet fijołków, kapotka czarna blądynowa, strojna fijołkami; parasolik również blądynowy na fijołkowym atłasie, ogarnirowany wolantem, u rączki długa kokarda fijołkowa.

Czwarta suknia z muszlinku jasno błękitnego, wolanty zakończone wieńcem szafirowych bławatków; bukiet z takichże kwiatów u stanika. Wielki kapelusz ryżowy, przybrany bławatkami.

Piąte ubranie: suknia z lekkiej tkaniny wełnianej *voile des indes*, w kolorze dziko popielatym, u dołu wolanty przemarszczane do połowy, zakończone haftem różowym, przód spodniczki naszyty takiemiż wolantami, polka objęta haftem podpinana pękami pukli z wstążki blado różowej. Kapelusz okrągły popielaty, przystrojony dwoma piórami: różowem i popielatem. Parasolik popielaty z haftem różowym u brzegu, podbity materyą różową.

Uważaliśmy wiele sukien z tejże tkaniny *voile*, morderowa miała haft żółto-zielonkowaty, śliwkowa haft w tymże kolorze, ale w jasnym odcieniu, ciemno zielona haft jasno oliwkowy, ciemno szafirowa haft błękitny, stalowa haft jasno popielaty *gris de lin*.

Szóste ubranie: suknia różowa w odcieniu blado koralowym z fularu surah, garnirowana koronką śmietankową. Kapelusz słomkowy ubrany piórem śmietankowem i bukietem róż zwiędłych.

Siódmy kostium z muszlinu brązowego w wielkie kwiaty *pompadour*. Spódniczka gładka z odpasowanemi wolantami. Kapotka z lekkiej słomki, otoczona wieńcem róż herbacianych.

Ósme ubranie do cienkiej żałoby: polka czarna bareżowa, przerabiana jedwabiem, na czarnej atłasowej spódnicy, z wielką u dołu riuszą. W koło polki garnirunek z hiszpańskiej blądyny, naszywanej dżetem. Kapelusz czarny z lekkiej słomki, okrągły wielki, opasany w koło skręconą szarfą z białej *crepe de chine*. U boku wpięty gołąbek biały, z naszyjnikiem brylantowym.

Dziewiąty kostium z szarego batystu, bogato zahaftowany, podpinany puklami ze wstążki ciemno pąsowej. Kapelusik okrągły słomkowy z rondkiem podniesionem, z wierzchu strojny wiśniami w różnych odcieniach. U szyi pęczek wisien wpięty w szarą koronkę.

Dziesiąty kostium skromny ale bardzo wytworny. Spódnica z wełnianej tkaniny, koloru Hawanna, w ciemno tabaczkową kratę. Kaftanik obcisły tabaczkowy spięty na dwa rzędy złotych guzików. Kapelusz ze słomy tegoż koloru, podbity aksamitem. Z wierzchu spadają dwa długie strusie pióra tabaczkowe, w końcach żółto siarczyste.

Weszły w tym roku w modę wyprawy statkiem parowym w okolice Paryża. Byliśmy kilka dni temu w Saint Cloud, kiedy statek taki przypłynął Sekwaną do przystani. Towarzystwo było w nim wyborowe, świadczyły o tem ubrania skromne, połączone z wytwornym smakiem.

Jedna z młodych pań miała kostium z ciemnego półbatystu w kolorze śliwkowym, w rzucik z różnokolorowych polnych kwiatków. U spódniczki były trzy wolanty, dwa takie jak suknia, środkowy zaś z białego muszlinu, haftowany kolorami w odpowiedni deseń. Nad wolantami, była przerzucona biała muszlinowa zahaftowana draperya, tworząca z przodu jakby krótki fartuszek, w tyle związana na wielką kokardę z końcami. Stanik do tego marszczony w pasie, z baskiną ogarnirowaną białym haftowanym wolantem. Żabot u szyi muszlinowy, haftowany, przepięty puklami ze wstążki śliwkowej. Kapelusz słomkowy okrągły, przystrojony wieńcem polnych kwiatów, dopełniał świeżego ubrania.

Inny kostium składał się ze spódniczki popielatej *voile des Indes*, z trzema wolantami, zakończonemi zielonym haftem. Żakietka do tego zielona z lekkiego sukienka, spięta na dwa rzędy oksydowanych guzików, w górze odwijały się klapy, przez otwór widać było plastron przymarszczany z popielatego atłasu. U szyi spadał żabocik koronkowy. Kapelusz wielki ze słomy popielatej, podbity był do połowy zielonym aksamitem, z wierzchu spadały dwa strusie pióra zielone i jasno popielate.

Uważaliśmy jeszcze ładną suknię z cienkiego płótna w kolorze *gris de lin*, z wolantami haftowanemi morderowym jedwabiem. Polka podpięta była w tyle kokardą z morderowej wstążki, przepasana w stanie takimże paskiem, kapelusik słomkowy strojny maczkami pąsowemi w rozmaitych odcieniach.

Inna suknia szara płócienna z białym haftem, podpinana była wstążką szafirowo-zielonkowatą, czyli ciemno pawikową. Kapelusz z szarej słomy, ubrany szpagatową koronką, miał z boku wpięty pęczek piór w pawikowym kolorze.

Do skromnych perkalikowych sukien uważaliśmy takież same parasoliki, podbite jaśniejszą satinetą.

Niektóre w miejscu parasolek, używały ogromnych wachlarzy z satinety, lub też malowanych w kwiaty i liście na płótnie niewarowem.

Trzewiki skórkowe, ozdobione z wierzchu czarną kokardą, przyjęte zwykle na te wycieczki wiejskie. Pończoszki do tego kolorowe odpowiednie do sukni.

Rękawy utrzymują się krótkie, zaledwie przechodzące łokieć. Wiele widać rękawiczek *fil d'ecosse* lub jedwabnych w takim jak suknie kolorze—przytwierdzają je zwykle bransoletkami dżetowemi.

NAUKA ŚPIEWU MŁODEJ DZIATWY.

Śpiewanie zbiorowe przez dzieci jest u nas dość upowszechnione w ochronkach, dlatego może uchodzi uwagi publicznej, w zastosowaniu go na pensyach i w domach prywatnych. Co jednak jest dobrem dla dzieci ubogich rodziców, dlaczegoż miałoby być lekceważone w wychowaniu dziatwy radzin zamożniejszych? Muzyce przyznano ogólnie wpływ zbawienny na uszlachetnienie uczuć serca, na łagodzenie porywów zbyt namiętnych i nadawanie przewagi moralnej w walce z materyą. Dziecko jest jak roślinka, któremu rozwój nadaje wychowanie, wszystko więc co zbawiennie do tego posługuje nie powinno być samowolnie usuwane w żadnym wypadku, czy w ochronce, czy na pensyi czy w domu. Środki dobrego wychowania różnicy pod tym względem żadnej nie znają i można przyjąć za pewnik, że nauka śpiewu zbiorowego wszędzie wprowadzona byłaby bardzo pożyteczną.

W Szwajcaryi śpiew taki bardzo jest upowszechniony. Pomijając liczne towarzystwa, korporacye rzemieślnicze, które śpiewem wspólnym, przy wszystkich występach rozweselają swoje wycieczki zamiejskie, śpiew brzmi zarówno w szkółkach jak w szkołach a nawet na pensyach prywatnych panien, niewstydzących się wcale naśladować ochronki z najuboższych dzieci złożone. Gdy przyjdzie święto, uczenice pod przewodnictwem przełożonej i nauczycielek, wyruszają po za mury miejskie, przy każdem pamiętnem w historyi miejscu opowiadane im są dzieje jej, potem rozpoczynają się gry, gonitwy do mety, a gdy znów dalej ruszają zaraz się odzywa śpiew chóralny głosów tak miłych, tak dźwięcznych, że bez rozrzewnienia prawie słuchać ich nie można. Po znużeniu przechadzką i wziętym posiłku w pierwszym lepszym ogródku publicznym, bez względu na znajdujące się towarzystwo, śpiew znowu się rozpoczyna i trwa już bez przerwy aż do powrotu do domu.

nawet w wagonach drogi żelaznej, z ogólnem i śpiewaczek i słuchaczy zadowoleniem.

W Galicyi austryackiej, śpiew z ochronek już przeszedł do szkół trzechklasowych zwanych ludowemi i tak się rozwijając dostanie się zapewne niedługo do gimnazyów i pensyi panieńskich. Towarzystwo pedagogiczne we Lwowie widocznie w tym kierunku pracuje, skoro za jego staraniem p. J. Czubski wydał już książeczkę ze śpiewkami na głosy dziecinne, a obecnie pierwszą część praktycznego sposobu nauki śpiewu.

Wprawdzie tak w domu jak na pensyach młode panienki powszechnie uczą się gry na fortepianie, ale to nauce śpiewu niedorównywa. Fortepian wymaga wielkiej pracy i długiego czasu a przedewszystkiem mozolnych i nudnych ćwiczeń, zanim uczenica w grze na nim znajdować będzie prawdziwą przyjemność: w nauce śpiewu zbiorowego przyjemność tę znajdzie prawie odrazu, bo po kilku lekcyach już do nauki pieśni przystąpić może. Gdy gronko dziecinne nauczy się jednym głosem nucić ich kilkanaście, może być zaraz rozdzielone na dwa głosy, z czego powstała harmonia jeszcze je bardziej zajmie i zadowolni. Tym sposobem nauka śpiewu stanowić będzie przyjemność nie trud i mozół i chwile przeznaczone na nią będą wyglądane nie z dąsem i narzekaniem, ale chętnie z pewną nawet niecierpliwością.

Na pensyach panien do zaprowadzenia śpiewu łatwo możnaby przystąpić, w domach prywatnych już trudniej szczególniej tam gdzie jedno tylko znajduje się dziecko. Do nauki nie jest koniecznem aby sam uczący był naukowo uzdolnionym śpiewakiem, dość będzie gdy mając poczucie muzyczne, piosenkę zwykle bardzo łatwą i prostą, potrafi z właściwą deklamacyą zanucić lub wygrać ją na fortepianie albo skrzypcach.

Otóż wszystko co potrzeba do nauki dzieci śpiewu, która może odbywać się w polu lub w ogrodzie na zwykłych przechadzkach. Jak ją prowadzić, wyborne skazówki daje książeczka p. J. Czubskiego, jasno napisana i razem ze śpiewnikiem bardzo niewiele kosztująca.

Nowość ta zapewne mało komu spodoba się i rzecz całą uzna za niepraktyczną. Nie sądzimy jednak być ją taką. Początki we wszystkiem są trudne, szczególniej w rzeczach nacechowanych pomysłem coś na przesąd uderzającym. Niechby na jednej pensyi w jednej rodzinie śpiew zaprowadzono a przyjemność jego i użyteczność wnetby przez wszystkich przyznaną została. Na naukę wiele czasu poświęcać nie trzeba, na pensyach niechby dwie lub trzy godzin na tydzień jej oddano, a byłoby to dostatecznem. W domach prywatnych śpiewanie mogłoby się częściej odbywać, na wszystkich przechadzkach codziennych, i tak rozwijając się pomału, łącząc rodziny z sobą, mogłoby się przenieść na chór do kościoła a w końcu wcisnąć między dzieci wiejskie, coby niezmiernie zbawiennie na nie oddziałało.

Śpiewające gronka młodzi zyskałyby wiele i na zdrowiu i na moralności a wrzawa ich z figlów powstająca, nieraz hałaśliwa do niezniesienia, znacznieby się przyciszyła zobopólną wszystkich korzyścią.

Kiedy więc zasada w tym wniosku oparta jest na fundamentach pozytywnych, to sądzimy że i wniosek sam godzien zastanowienia się. Jak to mówią, kupić nie kupić, ale warto potargować. Pieśń to nasza dusza, krew i serce nasze. Między ludem była ona codzienną jego strawą jak chleb, woda i powietrze.

Śpiewał on i śpiewa zawsze i wszędzie, szczególniej dziewczęta i kobiety. Przy chrzcie i pogrzebie, przy pracy, zabawie i smutku, pieśń zawsze pierwsze miejsce trzyma.

Piękności jej nic niedorównywa, a jest jej tak wielka obfitość, że choć zbiór pieśni Oskara Kolberga, owoc półwiekowej jego pracy, jest bardzo wielki, stanowi malutką tylko cząsteczkę tego co krąży w ustach ludu i w niedalekiej przyszłości zginie bezpowrotnie.

Przez dziatwę zatem uczącą się śpiewanie chętnie przyjęte będzie, jako rzecz nie narzucona ale tylko rozbudzona i nanowo powołana do życia. Wszakże my i lud to jedno.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Skończył nareszcie dni swoje ów tak zwany „letni karnawał warszawski" i doprawdy nie możemy pożegnać go inaczej jak tylko najszczerszem życzeniem „by w podobnych warunkach nie powracał więcej". Mamy tu głównie na myśli wystawę koni i wyścigi, których jedynem zdaje się celem: bezmyślna zabawka panów.

Słusznie też sprawozdawca „Tyg. Illustr." powiada:

„Zacny obywatelu uprawiający hippikę wyścigową, ażaliż zastanowiłeś się nad tem, że dzielne twoje rumaki są jedynie, jak karty w ręku szulela, środkiem hazardu?... Przypatrz się Anglikom którzy stworzyli sztukę wyścigów, wszakże oni mają wspaniałą rasę koni, począwszy od parowych czwórek aż do zaprzęgów fornalskich — a u nas?... Spółka tramwajowa nie mogąc dostać 48 koni posełа po nie aż do Węgier, aby dać świadectwo obcym, że cała ta nasza koniomania jest... płochą igraszką panków, na tle ogólnego niedostatku. Uderzcie się w piersi gorliwi popieracze stajni wyścigowej i powiedzcie szczerze coście zrobili na tem polu dla pożytku społeczeństwa? Raz do roku zabawiacie gawiedź uliczną, rujnujecie pół i ćwierć panków, których sam dłuższy pobyt w Warszawie i utrzymywanie w niej jakiegoś okazu, zniewala do zaciągania długów mających następnie pozbawić ich ojcowizny — oto wszystko.

„Mylimy się — dzięki wam przybył nam *totalizator* apokaliptyczna bestya pochłaniająca papiery bankowe nierozważnych tłumów... Jest to modny sposób wyścigowej szulerki, który dla złagodzenia szkodliwej wynalazczości panów, wciąga gawiedź dla współudziału w hazardzie. Jest to nowy środek zdemoralizowania chwiejnych serc i umysłów, pokazywaniem im iż łatwym sposobem z rubla można zrobić sto — tylko trzeba ryzykować. Całą tą robotą wyścigowo-totalizatorską bawić się mogą tylko *takie* dojrzałe umysły i silne serca, jak te które odrzuciły zacny, poczuciem obywatelskiem natchniony wniosek p. Skarzyńskiego co do zniesienia totalizatora, bo... totalizator przynosi zyski... przezacnie użytecznemu towarzystwu.

Samem już tem postanowieniem swojem pp. członkowie komitetu wyścigowego wydali wyrok potępienia na rujnującą zabawkę, którą aż tak niegodnym sposobem podtrzymywać trzeba.

*** Przed parą tygodniami odbyło się posiedzenie członków „Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, imienia d-ra Mianowskiego" powstałej w końcu r. z. Zarząd tej kasy składa się z profesorów i wychowańców b. Szkoły Głównej, mianowicie: prezes dr. medycyny Tytus Chałubiński, wice-prezes dr. filozofii Stanisław Kronenberg, kasyer magis. nauk matematycznych Karol Deike, sekretarz dr. med. Konrad Dobrski. Komitet zarządzający kasą pomocy ma corocznie ogłaszać drukiem sprawozdanie ze swej działalności; obecnie jednak dla wcześniejszego zawiadomienia ogółu o swej działalności, komitet urządził posiedzenie prywatne, d. 16 z. m. Po zagajeniu zebrania przez prezesa d-ra Chałubińskiego, pp. Deike i Dobrski przedstawili stan finansowy kasy z którego dowiadujemy się, że kasa liczy dziś 48 członków-założycieli, którzy wnieśli 7,200 rs., 62 członków honorowych którzy złożyli 9,472 rs. 91 kop. i 487 członków rzeczywistych, którzy złożyli 5,874 rs. Razem 597 członków i 22,115 rs. 93 k. majątku. Nadto dwa zapisy testamentowe: 500 rs. i 15,000 rs., które jeszcze do kasy nie wpłynęły. Z tego możnaby wnosić, że stan kasy jest bardzo pomyślny — i takby było gdyby wszyscy członkowie regularnie wnosili składki i gdyby rozwój ofiarności zwiększał się a nie malał, jak to właśnie ma miejsce. I tak w październiku r. z. wpłynęło 7,013 rs., w listopadzie 3,660 rs., w grudniu 3,189 rs. i dalej coraz i coraz mniej aż do maja r. b. w którym wpłynęło 580 rs. 52 kop. Ciekawym także jest wykaz miejscowości z których napływały fundusze. Otóż w Warszawie zebrano 9,437 rs. 84 kop., w gubernii lubelskiej 2,180 rs., w Petersburgu 662 rs. 91 kop., w Irkucku 476 rs, w gub. Kijowskiej 345 rs., w gub. Podolskiej 185 rs., w Kieleckiej 180 rs., w Radomskiej 148 rs., w Warszawskiej 135 rs., w Łomżyńskiej 105 rs. i t. d. Nie chcemy z tej małej ofiarności wyprowadzać smutnych wniosków o przyszłości kasy — ale niepodobna nie zwrócić uwagi na fakt, że Petersburg, Irkuck i inne miejscowości Cesarstwa okazały większą gorliwość o los naszej nauki i uczonych niżeli większość gubernii w Królestwie, z wyjątkiem lubelskiej.

Po najsumienniejszem zbadaniu podań i kwalifikacyi komitet wyznaczył już 5,000 rs. dla trzech uczonych na wyjazd zagranicę, około 5,000 rs. zapomóg na wydawnictwa i prace ściśle naukowe i 400 rs. wsparcia dla ludzi nauki, znajdujących się w niedostatku. Fundusze wyznaczone uczonym na wyjazd zagranicę i wydawnictwo dzieł, prędzej czy później mają być kasie zwrócone. Sprawozdanie to przekonywa o doskonałym kierunku tej pożytecznej instytucyi, ale zarazem i o nader małych funduszach pozostałych w kasie. Jedynym środkiem utrwalenia bytu kasy pomocy jest znaczne zwiększenie się liczby członków i regularne uiszczanie należnej od nich małej opłaty, bo tylko 5 rs. rocznie. Nie brak u nas jednostek mogących ponieść ten nic nieznaczący stosunkowo wydatek, a obowiązek nakazuje złożyć go dla dobra nauki, której kasa pomocy tak wiernie służy. Redakcye wszystkich pism polskich przyjmują składki na ten cel wnoszone. W N-rze 169 „Nowin" odrodzonych pod zdolnym kierunkiem sympatycznego obecnego redaktora, czytamy piękny artykuł p. n. „Kasa pomocy imienia d-ra Mianowskiego", w którym przedstawiwszy smutną u nas dolę uczonych, często bardzo umierających w nędzy, autor mówi między innemi:

„Gdyby łzy goiły a przynajmniej obmywały nędze społeczne, to nad nędzą „naszych uczonych" krwawemi łzami zapłakaćby należało. Zsumowawszy ich pracę, niedostatek, brak wytchnienia, wieczne osamotnienie, ciągłe rozczarowania i to

straszne poczucie że „przyszli do swoich, a swoi ich nie poznali” chciałoby się zapytać: czy praca około uszlachetnienia umysłów, praca dla przyszłości, uczciwa cicha a płodna w skutki, jest—aż tak wielką zbrodnią, że jej apostołowie muszą być aż tak ciężko dręczeni?... I pomyśléć sobie że kilka pokoleń uczonych pracowników zstąpiło już do grobu w podobnych warunkach, do grobu na którym nie stanął nawet pomnik spóźnionego uznania. Ich imiona zagasły jak opuszczone w polu ogniska, dzieci ich poszły w biedę i w rozsypkę, książki zjadła pleśń... Tylko te nasiona które czerpali że śpichrza powszechnej cywilizacyi i siel w umysły współczesnych, one tylko wydają dziś bezimienne plony, które jednak to sprawiły, że mamy niejakie prawo zaliczać się do ludów ucywilizowanych. Gdyby nie garść męczenników pracy nad nauką, których wyśmiewaliśmy zapadłe oczy, twarze pożółkłe i dziurawe buty, kraj nasz byłby podobny do tylu innych — na wpół dzikich jeszcze”.

Cóż dodać do tych słów tak wymownych, tak trafiających do przekonania, iż pewni iesteśmy że przeczytawszy je każdy kraj swój miłujący, jeźli tylko może ponieść wydatek 5 rs rocznie, zapisze się na członka Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia d-ra Mianowskiego.

⁂ Kościołowi polskiemu w Paryżu pod wezwaniem „Wniebowzięcia” groziło niebezpieczeństwo z powodu radykalnej Rady miejskiej, pragnącej pozamieniać wszystkie kościoły paryzkie w teatra lub sale balowe i koncertowe. Dawniejszy ojciec Jacek, a dziś p. Loyson, zniewolony odprawiać swoje nabożeństwa w wynajętych salach prywatnych, podsunął Radzie miejskiej myśl aby odebrała Polakom kościół „Wniebowzięcia” i jemu go oddała, podając za powód iż nie wypada aby cudzoziemcy posiadali piękną świątynię, skoro jego kościół narodowy; galikański, poniewierać się musi po najętych lokalach. Rada posłuchała odstępcy o tyle iż postanowiła odebrać kościół, nie myśląc jednak bynajmniej oddać go p. Loyson. Pomimo najsilniejszych starań broniących swych praw do kościoła, Rada miejska postanowiła go zabrać i stosowny dekret przedstawiony został do podpisu prezydentowi rzeczypospolitej. Wtedy kardynał arcybiskup paryzki doradził przełożonemu kościoła polskiego, ks. Witkowskiemu, aby sam poruszył jeszcze wszelkie możliwe sprężyny w obronie zagrożonego kościoła, bo sam nic już uczynić nie może. Idąc za tą radą ks. W. wniósł podanie do Rady miejskiej, do profekta policyi, do prezydenta rzeczypospolitej i do ministra wyznań. Prefektem policyi jest p. Floquet, prezesem Rady miejskiej p. Lacroix. Gdy ks. W. przybył do p. Floquet i tenże dowiedział się od niego że kościół Wniebowzięcia jest obecnie w posiadaniu kolonii polskiej, oznajmił iż gdyby go wcześniej o tem zawiadomiono, nie byłby wystąpił o odebranie kościoła i obiecał poczynić odpowiednie kroki u prezydenta rzeczypospolitej, wskutku czego dekret nie został podpisany i kościół pozostał jak dotąd w rękach polskich.

⁂ Dnia 22 maja r. b. odbyło się w Montmorency pod Paryżem doroczne nabożeństwo za dusze zmarłych Polaków, których ciała spoczywają na tymże cmentarzu, czy gdziekolwiek po świecie. Wiadomo że tu pochowani są: Kniaziewicz, Niemcewicz, Władysław Zamoyski i wielu znanych rodaków naszych. Tu także spoczywały zwłoki ks. Adama Czartoryskiego, zanim zostały przewiezione do grobu rodzinnego, w Sieniawie. Mszę św. solenną odprawił ks. Witkowski a stosowną mowę wygłosił do licznie zebranych rodaków i młodzieży z pensyonatu hr. Działyńskiego, że szkoły batiniolskiej i w. i. ks. doktor Postawka.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Adres Doktora Sabatowskiego, o którym wiadomość podaliśmy w Tygodniku jako leczącym chorobę epilepsyi: Paryż rue de l'Ecluse St. Martin Nr. 47.

Zawiadomienia.

ZAKŁAD
NAUKOWO-RĘKODZIELNICZY

pod kierownictwem

NATALII SMÓLSKIEJ,

przy ulicy S-to Krzyzkiej Nr. 19.

Przyjmuje uczenice na naukę pojedyńczych rzemiosł za opłatą rs. 5 miesięcznie. Za opłatą zaś miesięcznie rs. 15 odbywać się będą wykłady całych grup przedmiotów do jednej specyalności należących dla tych osób, które z nauki swej zapragną wyrobić sobie stanowisko fachowe. I tak:

Dla Modystek wykładane będą: krój sukien krój bielizny, stroje, szycie w ręku i na maszynie i część towaroznawstwa zastosowanego do tego zawodu.

Dla gospodyń wiejskich: Ekonomia domowa, Rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo, Jedwabnictwo, wiadomość o drobiu i pszczołach.

Dla poświęcających się kupiectwu: Buchalterya i korespondencya handlowa, towaroznawstwo ogólne i nadto praktyka w sklepie Spółki tak co do kupna i sprzedaży, jak i prowadzenia rachunków.

Ponieważ dla rozpoczęcia kursu potrzebny jest komplet z 6-u osób, przeto Panie z prowincyi, dla dogodności, na naukę bądź pojedyńczych przedmiotów, bądź wymienionych grup, zapisywać się mogą listownie, adresując swe żądania do Natalii Smólskiej i nadsyłając pierwsze po rs. 5, drugie po rs. 15 i markę na odpowiedź, a o terminie rozpoczęcia wcześnie zawiadamianemi będą.

Zarząd Zakładu pośredniczy na żądanie w wynajęciu dla uczenic odpowiedniego lokalu i stołu w domach zacnych i przyzwoitych i rozciąga troskliwą opiekę nad temi, które mu przez rodziców powierzonemi zostaną. Na lokal i stół, pragnące takowych za pośrednictwem Zakładu, nadesłać raczą pod wyżej wymienionym adresem, miesięczną opłatę rs. 25.

CZAS TRWANIA I SPOSÓB OPŁATY SĄ NASTĘPUJĄCE:

Nauka fachowa w grupach opłata kwartalna po rs. 45 z góry.

Modniarstwo: krój sukien, krój bielizny, szycie na maszynie i w ręku, stroje i część towaroznawstwa kwartałów 2 (miesięcy 6).

Gospodarstwo wiejskie: Ekonomia domowa, rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo z praktyką podczas miesięcy letnich, Jedwabnictwo, Pszczolnictwo i hodowla domowego inwentarza do kobiecego gospodarstwa należącego — kwartałów 3 (miesięcy 9).

Kupiectwo: Buchalterya i korespondencya handlowa, Towaroznawstwo ogólne i obznajmienie z prawem handlowem — kwartałów 2 (miesięcy 6), a nadto praktyka przy sklepie za opłatą rs. 5 miesięcznie, czas krótszy lub dłuższy stosownie do woli uczenicy.

Lekcye odbywają się codziennie, po 2 godziny rano i tyleż po południu.

Nauka pojedyńczych przedmiotów opłata miesięczna rs. 5 z góry.

Krój sukien	miesięcy	3
„ bielizny	„	2
Stroje	„	3
Rękawicznictwo	„	6
Introligatorstwo	„	6
Buchalterya	„	6
Kwiaty sztuczne	„	6
Drzeworytnictwo	„	12
Zegarmistrzowstwo	„	12
Heliominiatury	„	2
Retuszerya	„	6
Koszykarstwo	„	6
Rysunki zastosowane		
Ekonomia domowa	„	3
Koronkarstwo	„	3
do rzemiosł	„	6
Jedwabnictwo	„	6

Przygotowanie do Buchalteryi po rs. 4 miesięcznie
Przygotowanie do Korespondencyi „ 4 „

Lekcye co drugi dzień po dwie godziny.

Po ukończeniu kursu i zdaniu egzaminu, uczenice otrzymują świadectwa uzdolnienia.

Dawna uczenica Instytutu Aleksandryjskiego w Warszawie, obecnie wdowa, przyjmuje panienki na mieszkanie. Mieszkające u niej, znajdą troskliwą opiekę. korepetycye, korzystać mogą z konwersacyi w francuzkim języku i kształcić się w muzyce i śpiewie.

Warszawa, ulica Pańska Nr. 2 do 8 go lipca, później Nr. 25 przy tejże ulicy.

Wydając 10 edycyą „Jedynych praktycznych przepisów konfitur, ciast, wędlin, wódek i likierów”, powiększyłam je i opracowałam tak, że żadnej poprawce uledz już nie mogą. Nie zniżając więc ceny, jak się to dzieje z innemi jakiemiś przepisami bez autora i autorki, które się reklamują grubością papieru, pustemi kartkami i wielką cyfrą, encyklopedycznie podawanych przepisów, za całą reklamę powiem iż to 10 wydanie dopełnia 40,000 już sprzedanych Jedynych praktycznych przepisów, oprócz 60,000 dwunastu wydań „365 obiadów”.

Lucyna Cwierczakiewiczowa.

Adres: HELENA DĄBROWSKA, utrzymująca Bióro informacyjno-nauczycielskie, Krakowskie-Przedmieście N. 43, w Warszawie. Imię HELENA należy zawsze dopisywać.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 16 Іюня 1882 г.

Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 26, r. 1882.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

Nie potrzebujemy uwiadamiać czytelników że był to Karol Andinnian. Chciał spróbować czy nie zdoła dowiedzieć się czegoś więcej o Filipie Salter. Z każdym dniem, z każdą godziną nabierał co raz silniejszego przekonania że pobyt brata w Labiryncie naraża go na ciągłe, prawie nieuchronne niebezpieczeństwo. Karol i mistress Grey byli pewni że Smith jest rzeczywiście Filipem Salter.

W ciągu bezsennych nocy i przez całe dnie bezustannie nasuwało się Karolowi na myśl pytanie: Co czynić? Jakim sposobem zapewnić sobie spokój i bezpieczeństwo? Najpierwej, bezwątpienia, trzeba się było upewnić że ten człowiek jest niezaprzeczenie Salter'em, a następnie wejść z nim w umowę: „Pozostawisz memu bratu zupełną swobodę, a ja pozostawię ci wolność". Karol nie myślał nigdy wydać Salter'a w ręce sprawiedliwości; znał na nieszczęście, aż nazbyt dobrze straszne położenie biednego zbiega, aby mógł wydać nawet największego zbrodniarza.

Cała trudność zależała na stwierdzeniu tożsamości Smith'a z Salter'em. Ale jakże dojść do tego? Nie widział sposobu pozyskania tej pewności. Grimley znał Salter'a, a zapewnie i nie jeden z jego kolegów poznałby go także—lecz jeźli pokaże Grimley'owi Smith'a, a ten jest rzeczywiście Salter'em, to Grimley schwyta go niewątpliwie, a wtenczas wszystko będzie stracone, bo prawdopodobnie Salter powodowany zemstą, wskaże Labirynt, mówiąc: „Tam znajduje się większy zbrodniarz niżeli ja, więzień zbiegły z wyspy Portland, którego uważacie za umarłego — Adam Andinnian!"

Łatwo wyobrazić sobie trudność położenia; Karol nie chciał i nie mógł nic tylko wskazać policyi Smith'a, ale nawet dać najlżejszej wskazówki któraby mogła wprowadzić na jego ślady, był więc zmuszony szukać własnemi siłami dowodów jego tożsamości!

— Gdybym zdołał dowiedzieć się z czego pan Burtenshaw wnosi że Salter jest jeszcze w Anglii, powtarzał Karol w myśli, możeby to rozstrzygnęło moje wątpliwości? A gdybym też raz jeszcze udał się do pana Burtenshaw?... prosił go usilnie?... Kto wie czyby mi się nie powiodło! Zresztą nie narażę się na nic więcej jak tylko na odmowę.

Gdy nakoniec, po długiem wahaniu, zdecydował się doprowadzić ten zamiar do skutku, żona jego odebrała zatrważający telegram. Pułkownik Cleeve zachorował nagle, i mistress Cleeve w pierwszej chwili przerażenia zawezwała do siebie córkę. Karol odwiózł Łucyę do Winchester, i w parę godzin później udał się do Londynu. Foxwood-Court nie pociągało go ku sobie w obecnym stanie rzeczy, a prócz tego długie sam na sam z miss Blake nie przypadało mu tak bardzo do smaku; wolał więc pozostać w Londynie do powrotu żony.

Udał się do ajenta policyi zaraz nazajutrz po południu. Pan Burtenshaw uważał już przy pierwszem widzeniu że nieznajomy gość jego nie wyglądał bardzo czerstwo, teraz wydawał mu się jeszcze mizerniejszym. „Jest to człowiek wątłego zdrowia i dręczony ciężkiemi troskami", zawnioskował detektiw.

Karol przystąpił od razu do rzeczy. Czy pan Burtenshaw nie zechce mu powiedzieć co każe mu wnosić że Filip Salter jest dotąd w Anglii? Ma się rozumieć że Burtenshaw odpowiedział—nie, dodając że są to tylko domysły których powtarzać nie warto. Karol nie poprzestając nad tem ponowił naleganie.

— Cokolwiek mi pan powie, rzekł, zachowam to w najściślejszej tajemnicy, nie przyniesie to nikomu szkody. Powody bardzo ważne zmuszają mnie do zadania panu tego pytania.

— I zapewnie powody bardzo przykre, dodał w myśli ajent.

Karol pochylił się ku niemu, na bladą twarz jego wystąpił lekki rumieniec, wywołany wzruszeniem, a piękne siwe oczy wpatrywały się w niego smętnie i prawie błagająco.

— Czy zechce mi pan powiedzieć dla jakiego powodu pragniesz dowiedzieć się tego?

— Nie mogę, powiedział Karol. To przechodzi moją możność.

— Domyślam się że pan zna schronienie Salter'a... lub też sądzi że je zna... i chce pan zapewnić się o tem zanim wyda go w ręce policyi, rzekł ajent patrząc bystro na Karola.

— Gdybym nawet mógł w tej chwili wskazać palcem Salter'a, nie wydałbym go nigdy, rzekł Karol podnosząc rękę w górę, jakby dla nadania większej wagi swym słowom. Nic nie zdołałoby skłonić mnie do tego. Może mi pan wierzyć, że jeźli pragnę otrzymać to objaśnienie, to nie dla tego aby mu zaszkodzić.

Pan Burtenshaw widział że mówi to szczerze. Karol miał w sobie coś tak dziwnie pociągającego że i on uległ jego urokowi.

— Po głębszem zastanowieniu, nie widzę konieczności ukrywania tego przed panem, rzekł nakoniec. Oto jak rzeczy stoją: jednemu z moich podwładnych, który zna Salter'a, zdawało się że go widział cztery miesiące temu. Człowiek ten jechał koleją Great-Western, przejeżdżając około stacyi na której pociąg się nie zatrzymuje, zobaczył—czy też zdawało mu się że zobaczył — Saltera stojącego przed dworcem. Jest to człowiek rozważny, bystry, posiadający wzrok doskonały, dla tego też wątpię aby się pomylił. Rozpoczęliśmy zaraz śledztwo, ale bezskutecznie.

Karol zamyślił się głęboko. Cztery miesiące... Właśnie w tym mniej więcej czasie Smith przybył do Foxwood, ale przed tem mógł przebiedz całą Anglię.

— Tylko co przed tem, mówił dalej ajent, inny z naszych ludzi przyniósł niedorzeczną bajeczkę że Salter mieszka w Aberdeen, ale zapomniałem już na czem opierał swe twierdzenie. Zarządziliśmy odpowiednie poszukiwania, które jednak nie doprowadziły nas także do niczego.

— I to już wszystko co panu wiadomo? zapytał Karol.

— Tak, wszystko. Czy te wiadomości mogą się panu przydać?

— Nie, na nieszczęście. Chciałbym jeszcze pomówić z Grimley'em, dodał wstając. Czy jest w Londynie.

— Grimley jest obecnie tu, u mnie, a przynajmniej powinien być. Zajmuje się pewnym interesem pod moim kierunkiem, i miał tu przyjść o trzeciej godzinie po dalsze rozkazy. Czy mam go przywołać?

— I owszem, jeźli można.

Karolowi nie raz już przychodziło na myśl, że wartoby opisać Grimley'owi powierzchowność Smith'a, i zapytać go następnie czy ten opis zgadzał się z powierzchownością Salter'a. Mógł to uczynić przecie nie nastręczając mu sposobności odkrycia Szmit'a i miejsca jego zamieszkania.

Pan Burtenshaw zadzwonił i kazał służącej aby przysłała do niego Grimley'a, jeżeli już przyszedł. Grimley zjawił się natychmiast, a zaraz za nim wszedł drugi jeszcze podkomendny pana Burtenshaw.

— O! nie potrzebuję cię jeszcze, Watts, rzekł zwierzchnik, zaczekaj na dole.

— Dobrze, panie, odpowiedział Watts. Chciałem tylko oddać to panu, dodał stawiając na stole malutkie pudełeczko. Pan Burtenshaw obejrzał je ciekawie a następnie wsunął do szuflady.

— Zapewnie od Jakóba?

— Tak, panie.

Karol tymczasem zaczął rozmawiać z Grimley'em i opisał mu jak najdokładniej rysy i całą postawę Smit'a. Czy mógłby to być Salter? zapytał następnie.

— Jeżeli to nie on, to chyba jego brat rodzony! zawołał Grimley. Co zaś do tego że wygląda na czterdzieści lat, to nic nie znaczy; człowiek starzeje się prędko żyjąc w ciągłej obawie.

Karol uznał słuszność tego zdania, przypomniawszy sobie jak Adam się zestarzał i jak on sam się starzeje. Był teraz już prawie pewnym że Smith jest Salter'em. Wsunął w rękę Grimley'a odpowiednie wynagrodzenie, pożegnał pana Burtenshaw i wyszedł, nie domyślając się że będą tworzyć co do niego najrozmaitsze przypuszczenia.

— Znalazł Salter'a! zawołał Grimley.

— Tak, odpowiedział pan Burtenshaw, ale nie myśli go wydać.

— To być nie może, zawołał zdumiony Grimley. Cóż ma za powód?

— Tego nie umiem powiedzieć, ale zapewnił że nie ma tego zamiaru,—i pewny jestem że mówił to szczerze — zdaje mi się nawet że bardzo mu o to idzie aby go mógł ukryć.

— Więc panu wyznał że wie gdzie jest Salter?

— Bynajmniej. Jest to tylko moje przypuszczenie.

— Kto to jest?

— Nie wiem. Znalazł na to sposób żeby nie był zmuszonym powiedzieć mi swego nazwiska.

Grimley'owi nie podobał się taki stan rzeczy. Jakiem prawem ten nieznajomy przychodzi tu szukać objaśnień dotyczących Salter'a, skoro nie zamierza wydać go w ręce sprawiedliwości? Zapytał powtórnie pana Burtenshaw czy zna tego gentlemana, i raz jeszcze odebrał przeczącą odpowiedź. Ajent Watts który wszedł przy końcu tej rozmowy, rzekł zwracając się do swego zwierzchnika.

— Czy to idzie o tego gentlemana który wyszedł przed chwilą? Ja go znam.

— Doprawdy? Któż to jest zapytał pan Burtenshaw niedbale, otwierając pudełeczko wyjęte z szuflady.

— Sir Karol Andinnian.

— Czy być może! zawołał *detektiw* z widocznem zajęciem, gdyż nazwisko sir Karola Andinnian, brata człowieka którego zbrodnia narobiła tyle wrzawy w swoim czasie, było dobrze znanem wszystkim należącym do policyi.

— Tak, to on w swej własnej osobie; poznałem go od razu. Znajdowałem się w Northamptonshire gdy skazano na śmierć jego brata, byłem obecnym na tej sprawie, i wtenczas przypatrzyłem się dobrze sir Karolowi.

— Teraz już się nie dziwię że taki smutek maluje się w jego twarzy, pomyślał pan Burtenshaw. Tak sprawa jak śmierć sir Adama musiały wywrzeć na nim trwałe i bolesne wrażenie. Ale dla czegóż sir Karol tak się zajmuje Salter'em?

Pytanie to zadawał sobie jednocześnie Grimley, z tą tylko różnicą że postanowił poruszyć niebo i ziemię aby je rozwiązać. Doświadczenie zaostrzyło jeszcze jego wrodzoną bystrość i przenikliwość, więc i z tego co usłyszał wyciągnął wnioski niebezpieczne dla jakiegoś mieszkańca Foxwoodu. Gdyby Karol Andinnian mógł przewidzieć jakie skutki przyniesie ta jego obecność u pana Burtenshaw, byłby na znak żalu posypał swą głowę popiołem.

— Sir Karol Andinnian mieszka wraz z żoną w Foxwood-Court; to wiem z pewnością, rozmyślał Grimley, a zatem kryjówka Salter'a musi być gdzieś niedaleko... tak, to rzecz pewna... Założyłbym się o własną głowę że mieszka w Foxwood! Wyśledzę go choćby mnie to najwięcej miało kosztować! Tylko.. muszę się zastanowić jak się wziąść do tego.

Najprzód starał się wybadać zręcznie o ile może liczyć na pana Burtenshaw, i przekonał się wkrótce że nie należy rachować na jego pomoc: pan Burtenshaw zajmował się tylko takiemi sprawami które mu polecali jego zwierzchnicy. Grimley rozmyślał przez całą noc, a nazajutrz rano odważył się na krok śmiały i trochę niebezpieczny. Wyrobił sobie prywatne posłuchanie u jednego z wysokich urzędników policyi, oznajmił mu że trafił na ślad Salter'a, a na dowód przytoczył w jakim celu sir Karol był dwa razy u pana Burtenshaw, i jakich od niego samego żądał objaśnień.

— Panie, rzekł, jest to rzeczą równie pewną jak to że się nazywam Dick Grimley, że Salter ukrywa się w Foxwood lub też w jego okolicach. Pragnę go schwytać! Nie idzie mi o nagrodę... której zresztą nie otrzymałbym może, ponieważ to z moich rąk się wymknął... ale idzie mi o to abym go przytrzymał. Jest to chytry lis, panie, i trzeba działać bardzo ostrożnie.

— Jeźli Salter wskutek twego obecnego oznajmienia zostanie schwytanym, otrzymasz część wyznaczonej nagrody. Komu z was jest znanym prócz ciebie? Wątpię abyś mógł sam się tem zająć.

— O! tak, byłoby to dla mnie rzeczą całkiem niemożliwą, odpowiedział Grimley. Ten ladaco zna mnie doskonale, i dostrzegłszy mnie umknąłby ze swej kryjówki tak śpiesznie jak szczur z tonącego okrętu. Zresztą, panie, nie mogę porzucić sprawy którą się zajmuję pod kierunkiem pana Burtenshaw.

— A więc, powtarzam, kto z was zna Salter'a?

— Tatton, panie, zna doskonale Salter'a, a ma tę przewagę nademną, że Salter nie zna go wcale. Tatton odpowie najlepiej temu zadaniu. Burtenshaw pomimo swych zdolności, nie potrafiłby przeprowadzić sprawy tak dobrze jak on, tam gdzie trzeba działać osobiście.

Rozmowa przeciągnęła się jeszcze kilka minut, poczem Grimley odszedł a posłano po Tatton'a. Tam gdzie szło o schwytanie takiego ptaszka jak Salter, trzeba było działać śpiesznie, nie tracąc ani minuty.

Tatton rozpoczął swą karyerę od stopnia prostego policmana, ale dzięki swym niezwykłym zdolnościom, pozyskał wkrótce wyższy stopień. Miał udatną powierzchowność, odebrał staranniejsze wykształcenie i wychowanie, umiał poprowadzić rozmowę o najświeższych wypadkach i zastosować się do każdego towarzystwa w jakie mu wejść wypadało, począwszy od gentlemana aż do posługacza czyszczącego obuwie na ulicach miasta. Posiadał prócz tego rzadką roztropność, takt w postępowaniu i pewny rzut oka, rzeczy tak potrzebne do przeprowadzenia szczęśliwie każdej trudnej i zawiłej sprawy. Wybór Grimley'a był bardzo trafny.

III.

Nowy lokator wdowy Jinks.

Słońce zniżało się ku zachodowi gdy gentleman mogący mieć około lat trzydziestu, dość nizki, ubrany starannie, z bystrem spojrzeniem i trochę kręcącemi się blond włosami, wysiadł na stacyi Foxwood z pociągu idącego z Londynu. Trzymał w ręku torbę podróżną a prócz tego posługacz postawił przy nim kuferek z rzeczami. Zapytał o drogę do Foxwood przechodzącego listonosza.

— Czy pan się pyta o wieś Foxwood, czy też o mieszkanie sir Karola Andinnian.

— O wieś Foxwood.

— W takim razie niech się pan zwróci na lewo, a następnie skręci na pierwszą drogę na prawo, która doprowadzi pana prosto do Foxwood.

— Dziękuję, rzekł gentleman wsuwając pieniądz listonoszowi. Znał lepiej niż ktokolwiek inny użyteczność srebrnego klucza, a ten człowiek, wrazie potrzeby, mógłby mu dostarczyć wiele objaśnień dotyczących mieszkańców Foxwodu i okolic jego.

Zostawił walizkę na stacyi, sam zaś odszedł z podróżną torbą w ręku, i wkrótce znalazł się w środku wsi; spojrzawszy koło siebie, spostrzegł na jednym z domów kartę, na której było wydrukowane wielkiemi literami „pomieszkanie z meblami". Przed otwartemi drzwiami tego domu stała kobieta w czystym czepku i jedwabnym fartuchu. Mistress Jinks była dziś w paradnem ubraniu.

— Otóż znalazłem czego mi właśnie trzeba, pomyślał nieznajomy, zdaje mi się że ta jejmość musi być bardzo gadatliwa, i byle jej nasunąć sposobność nie pożałuje swego języka. Zbliżył się do niej i ukłonił tak grzecznie jakby jakiej księżnie.

— Widzę że pani ma mieszkanie do najęcia?

Wdowa podskoczyła przestraszona. Wyglądała właśnie czy nie jedzie człowiek sprzedający *muffins*, który dziś spóźnił się bardzo, a że słońce biło jej prosto w oczy nie dostrzegł iż ktoś przysunął się do niej.

— Przepraszam pana, bardzo przepraszam, pan się pyta o mieszkanie? Tak, pierwsze piętro jest do najęcia.

Przez cały miesiąc mieszkała tam pewna pani z Basham, której wnuczki były wielbicielkami pana Cattacomb, ale obecnie wróciły już do siebie. Mistress Jinks uważała za rzecz niezbędną opowiedzieć te wszystkie szczegóły nieznajomemu.

— Może pani zechce pokazać mi to mieszkanie.

Wdowa poprowadziła go przez korytarz wiodący do schodów, stąpając na palcach.

— Mieszka tu u mnie, rzekła wskazując na drzwi mieszkania pana Cattacomb, młody duchowny, pastor nowego kościoła, u którego co czwartek bywają zebrania, w celu czytania wspólnie różnych ustępów z Biblii, co oni nazywają ćwiczeniami. Dziś właśnie czwartek i zaczną się do niego schodzić wkrótce. Polecił mi aby mu zawsze przed tem podawać herbatę, a tu jak na złość nie przyniesiono mi dotąd *muffinsów*! Wielebny usnął położywszy się na krzesełkach czekając na herbatę. Oto jest salon, panie.

Nieznajomy pochwalił salon i pokój sypialny, a zarazem oświadczył że nie potrzebuje obszerniejszego nad to mieszkania, i mistress Jinks zawahała się trochę, wolałaby wynająć całe mieszkanie.

— Jak długo pan tu zabawi? zapytała.

Nie mogę dać na to stanowczej odpowiedzi, może tydzień, może miesiąc a nawet dłużej jeszcze. Wyjechałem na wieś dla odpoczynku i poratowania zdrowia, i pragnę przedewszystkiem znaleźć jakieś ciche miejsce w którem mógłbym czytać spokojnie. Nie będzie pani miała ze mną wiele kłopotu.

Mistress Jinks zgodziła się nakoniec na wynajęcie tylko dwóch pokoi, podnosząc za to trochę przypadająą za nie cenę, zastanowiwszy się nad tem że może nie zgłosi się nikt taki coby najął całe mieszkanie. Następnie zapytała jakie może jej okazać poręczenie.

— Nie mogę przedstawić pani żadnego poręczyciela, ponieważ nie znam tu nikogo, i mnie nikt nie zna, ale będę płacił co tydzień z góry, co jak sądzę stanie za poręczenie.

Mówiąc to wręczył jej umówioną sumę, dodając do niej suwerena.

— Czy nie mogłaby pani przynieść mi cóś do jedzenia. Chciałbym przedewszystkiem mieć herbatę i jeden z tych *muffins* o których pani mówiła; tylko proszę nie żałować masła.

— I owszem, panie, jak najchętniej, mamy muffinsy przez całe lato, z powodu że wiele osób przybywa tu na letnie mieszkanie, gdy w innych miejsach, jak naprzykład w Basham, tylko w zimie można ich dostać. Może dodać trochę sałaty z rzerzuchy; te dwie rzeczy razem są bardzo smaczne.

— W takim razie proszę o rzerzuchę.

Wymienił jeszcze kilka rzeczy których sobie życzył, polecił mistress Jinks aby dodała co tylko uzna za potrzebne, następnie podniósł swą torbę aby ją przenieść do sypialnego pokoju, a gdy mistress Jinks chciała go wyręczyć, powiedział że nie zezwoliłby na to za żadną cenę.

— Czy to już wszystkie rzeczy pana?

— Zostawiłem kuferek na stacyi; nie chciałem go brać z sobą nie wiedząc gdzie będę mieszkać, a nawet czy pozostanę w Foxwood, bo gdybym nie znalazł odpowiedniego dla siebie mieszkania, byłbym wrócił zaraz na stacyę i pojechał gdzieś dalej.

— Nie znalazłby pan zdrowszego i piękniejszego miejsca nad Foxwood, zawołała śpiesznie wdowa, mamy tu bardzo piękne widoki i okolice.

— Toż samo właśnie powiedział mi mój doktór. Po długiem ślęczeniu nad książką, przyjemna przechadzka orzeźwia umysł i pokrzepia ciało.

— O! to nie podpada wątpliwości. Pan uczy się zapewnie? Mieszkał już u mnie kiedyś młody gentleman z Oxfordu, tylko że wypędzono go stamtąd później. A! otóż przyniesiono moje *muffins!* dodała posłyszawszy silny odgłos dzwonka, biegnę otworzyć. Ale zechce pan wybaczyć... jeźli zapytam o nazwisko.

Gentleman stał właśnie na drugim końcu pokoju pochylony nad torbą z której coś wydobywał, i odpowiedział żeby zapisać NN. ponieważ nazwisko jego całkiem tu nieznane nieby nie objaśniło. Mówił dość cicho a dzwonek odezwał się jednocześnie tak głośno, że mistress Jinks zdawało się że powiedział „Enen".

— Pan Enen, powtórzyła zbiegając ze schodów z pieniędzmi w ręku; muszę przyznać że nigdy jeszcze nie widziałam milszego i grzeczniejszego gentlemana. „Nie żałuj pani masła", powiedział! Widocznie nie należy do tych liczykrupów, co to dopytują się o każdą skórkę chleba, o każdą kruszynę pozostałą z obiadu.

Gdy mistress Jinks miała więcej roboty, przybierała sobie do pomocy czternastoletnią dziewczynę, noszącą włosy w różowej siateczce. Posłała ją natychmiast po różne sprawunki, sama zaś zajęła się smażeniem *muffinsów* i wkrótce podała herbatę swym lokatorom. Najprzód zaniosła ją panu Cattacomb, który spał na pół ubrany, położywszy się na trzech krzesłach. Zaczynał już czuć ciężar swego położenia: oprócz obowiązków kościelnych, miał ich jeszcze tak wiele po za kościołem, jak nauczanie dzieci, rady i nauki udzielane młodym owieczkom, które nie zostawiały mu prawie chwilki wolnego czasu, dla tego też często upadał prawie ze znużenia i zadawał sobie pytanie; czy nie będzie zmuszony zawezwać do pomocy dawnego swego pomocnika, wielebnego Damona Puff.

— Przyniosłam herbatę, rzekła mistress Jinks, i gorący, świeżo usmażony *muffin.*

— Herbatę, mistress Jinks? odpowiedział pan Cattacomb podnosząc się wolno. Dziękuję... doprawwdy umieram ze znużenia.

Czy to w skutek tego znużenia, czy też że dla mistress Jinks nie warto się było trudzić, dosyć że w tej chwili nie widać było ani śladu tej przesady którą pan Cattacomb odznaczał się zawsze, i patrząc na niego obecnie można było powiedzieć że to jakiś przyjemny i naturalny człowiek.

— Poszczęściło mi się dziś, panie, mówiła dalej mistress Jinks stawiając tacę, wynajęłam pierwsze piętro. Wprowadził się tam pan Enen, gentleman przybywający z Oxford, ale który nie cieszy się silnem zdrowiem. Doktór jego kazał mu wyjechać na wieś i powiedział że w Foxwood znajdzie zdrowe, czyste powietrze i przyjemne spacery. Jest to gentleman tak szczodry i grzeczny, jak nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać.

— Bardzo mnie ucieszyła ta wiadomość, rzekł pan Cattacomb pijąc herbatę. Czy mistress Jinks nie zapomniała że będziemy dziś potrzebowali więcej krzeseł.

Zebrania czwartkowe bywały bardzo liczne, uczęszczały na nie tak owieczki pana Cattacomb z Foxwood, jak i wiele młodych pań i panien z Basham, co wymagało znacznej ilości krzeseł, które trzeba było zbierać po wszystkich mieszkaniach, i nowy lokator nie skończył jeszcze herbaty, gdy mistress Jinks weszła do niego prosząc aby pan Enen pożyczył jej krzeseł, i objaśniając z jakiego powodu prosi go o nie.

— O! i owszem, możesz zabrać wszystkie, mistress Jinks, odpowiedział grzecznie, ja zaś usiądę na stole.

Mistress Jinks była jednak o tyle względną że pozostawiła mu jedno. Roześmiał się szczerze, gdy się przekonał przy tej sposobności iż wdowa ułożyła sobie że on się nazywa „Enen".

— Zkąd jej się to uroiło? pomyślał... Przesłyszała się widocznie gdy odgłos dzwonka przygłuszał moją odpowiedź. Ale tem lepiej, nie myślę wyprowadzać jej z błędu.

Podczas gdy znoszono krzesła z całego domu, nie wyłączając kuchni, a dzwonek przy drzwiach odzywał się co chwila, pan Enen (gdyż i my tak go nazywać będziemy) wziął kapelusz i udał się na stacyę po swoje rzeczy. Gdy zszedł do sieni, drzwi od mieszkania pana Cattacomb były otwarte, a że nikt nie patrzył w tę stronę, mógł przyjrzeć się dobrze tak mieszkaniu, jak i znajdującym się w nim osobom. Zobaczył przeszło dwadzieścia kobiet szczebioczących w pokoju przepełnionym wyrobami pięknych rączek, jak poduszki, serwety, dywany i dywaniki, rysunki w skórzanych ramach, patarafki, kwiaty woskowe pod kloszami, i mnóstwo innych rzeczy których już nie będziemy wymieniać.

— Ten biedny człowiek musi być zawsze jak w oblężeniu, pomyślał pan Enen wychodząc na ulicę. Powinnienby ożenić się i położyć temu koniec. Chociaż kto wie czy mu to nie sprawia przyjemności, znajdują się na świecie ludzie mający więcej próżności jak rozumu.

Pan Enen kazał odnieść swą walizkę do domu mistress Jinks, i postarał się aby i na stacyi pozostawić o sobie takież samo wyobrażenie jakie o nim miała wdowa Jinks — młody człowiek zajmujący się nauką i szukający spokoju i świeżego powietrza.

Mistress Jinks była obecną przy rozpakowaniu walizki, w której znajdowały się także książki, i korzystając z chwili w której pan Enen wyszedł do drugiego pokoju, parę z nich otworzyła, a nie mogąc nic zrozumieć wyobraziła sobie że są pisane po łacinie i po grecku. Tego jeszcze wieczora wszyscy na całej ulicy wiedzieli, że wdowa Jinks ma nowego lokatora, gentlemana przybywającego z Oxfordu, pana Enen, przybyłego dla poratowania zdrowia, który przywiózł z sobą greckie i łacińskie książki.

IV.

Mistress Chaffen.

Jakże wiele może zajść ważnych wypadków i niespodziewanych zmian w krótkim przeciągu czasu! Jakkolwiek sir Karol i lady Andinnian tylko przez tydzień byli nieobecni w domu, jeszcze przed ich powrotem przybył do Foxwood człowiek zupełnie tam nieznany, a w Labiryncie zdarzył się ważny wypadek.

Łucya wieczorem po powrocie przechadzała się po ogrodzie, napawając się widokiem i wonią swych ślicznych kwiatów. Karol pisał listy w swym gabinecie, a miss Blake była w kaplicy. Lady Andinnian z radością wróciła do domu, pomimo że czuła się w nim teraz tak osamotnioną, a gdy po tygodniu zupełnego rozłączenia zobaczyła męża który po nią przyjechał, serce jej silniej bić zaczęło. Pułkownik Cleeve był już prawie zupełnie zdrów; atak był silny ale minął prędko. Rodzice nalegali na Łucyę aby u nich pozostała dłużej, i zamierzali prosić Karola aby także przyjechał do Winchester na czas jakiś, a stanowcza odmowa Łucyi zadziwiła ich bardzo, tem więcej iż tłómaczyła się tem jedynie że Teresa pozostała sama w Foxwood. Rzeczywistym tego powodem była obawa aby matka nie domyśliła się istniejącego między nią i Karolem nieporozumienia, gdyby oboje spędzili czas jakiś w domu rodziców. Karol przyjechał więc tylko do Winchester w dniu oznaczonym, i zaraz odjechał z Łucyą do domu.

W czasie pobytu u rodziców, czuła się poniekąd wynagrodzoną za cierpliwość z jaką znosiła swe nieszczęście. Przekonała się teraz lepiej jeszcze, że wolałaby umrzeć niżeli zdradzić swą tajemnicę, sprawiłaby tem tak wielką przykrość rodzicom, i naraziła ich na tak wielkie upokorzenie! Takby ją to poniżyło tak w ich oczach jak w oczach wszystkich jej przyjaciół, którzy byli przekonani że nic nie brakowało jej do szczęścia, i unosili się zawsze nad jej mężem! Lepiej znosić największe męczarnie niżeli dojść do tego! powtarzała w myśli Łucya chodząc po ogrodzie.

Karol zbliżył się do niej trzymając w ręku dwa listy. Siedziała w tej chwili pod akacyą, słońce już zaszło, ale jeszcze złota smuga błyszczała na zachodzie. Dni były jeszcze prawie tak gorące jak wśród lata, ale wieczory i noce zaczynały być chłodne. Szal Łucyi leżał przy niej na ławce.

— Powinnabyś już włożyć szal, rzekł Karol, i mówiąc to sam owinął ją nim starannie.

Gdy się pochylił ku niej przeczytała adresy na listach; jeden był do panów Plunkett et Plunkett, drugi do mistress Cleeve.

— Pisałeś do mojej matki? zapytała.

— Tak, prosiła mnie abym jej doniósł czy przybyłaś szczęśliwie do domu. Przesłałem jej od ciebie uściśnienia.

— Dziękuję ci, Karolu. Idziesz na pocztę?

— Tak, i muszę się śpieszyć aby zdążyć na czas, odpowiedział odchodząc.

— Jaki on jest troskliwy i dobry, pomyślała Łucya ścigając go wzrokiem. Zupełnie jak gdyby mnie kochał. Zamyśliła się i znów zaczęła marzyć o możliwości przebaczenia i pojednania. Jakże to dobrze było ze strony Karola że bawił w Londynie w czasie jej nieobecności. Była pewną że uczynił to dla tego aby mogła być przekonaną że nie przesiadywał w Labiryncie korzystając z tej sposobności. Cienie nocy zastały jeszcze Łucyę na tem samem miejscu, pogrążoną w zamyśleniu.

Miss Blake tymczasem wyszła z kaplicy. Dochodząc do parku, spostrzegła chłopca idącego po drugiej stronie drogi z koszykiem w ręku. Był to służący doktora, Kris Lumley, który zasłużył sobie na niezadowolnienie miss Blake. Przeszła przez drogę i zbliżyła się do niego gdy właśnie zadzwonił do Labiryntu.

— Powiedz mi, rzekła, czem zdołasz usprawiedliwić twoje postępowanie? Już przez trzy dni nie byłeś w szkole.

— To nie moja wina, odpowiedział śmiało;—był to chłopiec hardy, niepodobny wcale do grzecznego Toma Pepp — to mój pan temu winien.

— Co ty pleciesz? Zkądże mogłoby to pochodzić z winy twego pana?

— Pan powiedział że jestem obowiązany spełniać gorliwie to do czego się zgodziłem, i że mnie wypędzi jeżeli będę przez cały boży dzień zbijał bąki w szkole.

— Nie wierzę temu! odpowiedziała miss Blake. A zresztą pomówię o tem z panem Moore.

— I owszem! proszę go się zapytać.

— Domyślam się jak to było; dowiedział się zapewnie że pod pozorem szkoły wałęsasz się przez pół dnia po całej wsi.

— Pan powiedział jeszcze coś więcej; tak, powiedział, rzekł Kris Lumley nie zbijając nawet ostatniego oskarżenia. Powiedział że jeźli mi się zdaje że pan Sumnor nie umie uczyć religii, towe-

źmie na moje miejsce innego chłopca, dla którego jego nauki będą dostateczne. No! może go się pani spytać czy to powiedział lub nie.

Miss Blake nie chciała mówić z nim o tem dłużej dopóki nie zobaczy się z doktorem, zamierzała więc odejść, gdy frendzla od jej okrycia zaczepiła się o koszyczek z lekarstwami, co jej nasunęło myśl że ktoś w Labiryncie musi być chory. Walczyła chwilkę z ciekawością, w końcu zapytała komu niesie lekarstwo.

— Dla samej pani, odpowiedział.

— Dla pani, mówisz zapewnie o mistress Grey?

— Chłopiec skinął potwierdzająco głową.

— Cóż jej jest?

— Co jej dziś jest tego nie wiem, ale wczoraj urodziło jej się dziecko, dla którego także przynoszę lekarstwo.

Ta wiadomość sprawiła tak silne wrażenie na miss Blake że przez parę minut nie mogła wymówić ani słowa; zdawało jej się to niepodobnem do prawdy. Zajrzała do koszyka, i w jednej jego przegródce zobaczyła dwie flaszeczki owinięte w papier; przy większej była etykietka z podpisem „dla mistress Grey”, przy mniejszej „dla dziecka mistress Grey”.

Odbiegła nie mówiąc już ani słowa, oburzona niegodziwością ludzką, ale zapatrując się na rzeczy z jej punktu widzenia, trzeba przyznać że to oburzenie było zupełnie usprawiedliwionem.

Wróćmy teraz do Łucyi. Ściemniło się już prawie zupełnie, i wstała z ławeczki chcąc wrócić do domu. Karol nadszedł właśnie w tym czasie wraz z panem Moore którego spotkał na drodze i przyprowadził z sobą, a miss Blake ukazała się prawie jednocześnie. Rozdrażnienie jej wzmogło się jeszcze gdy zobaczyła Łucyę siedzącą obok Karola i doktora; gniew dotąd wrzał w jej sercu, teraz zaczynał kipić. Rozsądek nakazywał powstrzymać języczek, ale oburzenie sprzeciwiało się temu. Zapomniała zupełnie o przekroczeniach Lumley'a i o zamiarze pomówienia o tem z panem Moore. Wszakże nikt nie będzie mógł oskarżyć ją o potwarz skoro powtórzy co słyszała, a było jej obowiązkiem powiedzieć wszystko, otworzyć oczy Łucyi, nie dozwolić aby ją tak niecnie oszukiwano. Zresztą, któż wie czy jej słowa nie wywrą zbawiennego wpływu na sir Karola? Doktór i Łucya siedzieli przy oknie, Karol stał nieco dalej wsparty o kominek; rozmowa toczyła się o kwiatach. Miss Blake usiadła milcząc i zbierając siły do rozpoczęcia walki, skoro tylko wyczerpie się przedmiot rozmowy.

— Słyszałam dziś... ciekawą nowinkę, rzekła zniżonym głosem, gdyż rzeczywiście dotykała niechętnie tego przedmiotu. Kris Lumley powiedział mi, panie Moore, że w Labiryncie przyszło na świat dziecię.

— Płci męzkiej, odpowiedział natychmiast pan Moore, a urodziło się wczoraj.

Spojrzawszy na sir Karola miss Blake spostrzegła na jego twarzy wyraz przestrachu i zadziwienia. Łucya zadrżała. Po chwili ogólnego milczenia, miss Blake oświadczyła dobierając jak najdokładniejszych wyrazeń, że według niej urodzenie dziecka w Labiryncie było więcej niż niepotrzebnem.

— O! to już obchodzi tylko mistress Grey, odpowiedział śmiejąc się pan Moore.

Łucya zbladła śmiertelnie; była blizką zemdlenia.

— Gdzie jest mąż mistress Grey? zapytała surowo Teresa.

— Obecnie w Londynie, o ile mi się zdaje, odpowiedział doktór.

— Czy ona ma rzeczywiście męża? panie Moore.

— Sprawiedliwe nieba! jakież to dziwne pytanie!... Tak, z pewnością, odpowiedział, nie domyślając się wcale że dla obecnych tam osób było to rzeczą bardzo ważną, czy mistress Grey ma lub nie ma męża. Zaręczyłbym za to własną głową! Jest to najpowabniejsza, najmilsza i najcierpliwsza ze wszystkich kobiet które dotąd potrzebowały mej pomocy.

— W interesie Łucyi, nie odstąpię jeszcze od tego przedmiotu, rzekła do siebie Teresa ze zwykłą sobie nieugiętością, a także i dla tego aby sir Karol zawstydził się sam za siebie... inaczej nie wspomniałabym o tem nigdy.

— Z czego pan wnosi, panie Moore, że jej mąż jest w Londynie.

— Wnoszę to z tego co pani Grey mówiła do mnie, ale nie wypytywałem jej się o to co prawda, gdyż była bardzo cierpiąca.

— Dotąd utrzymywano ciągle że pan Grey (wymówiła to nazwisko z ironicznym uśmiechem) podróżuje po stałym lądzie.

— Tak, wiem o tem, ale mógł teraz wrócić. Jestem pewny że mistress Grey mówiła do mnie iż parę tygodni temu jeździła do Londynu, i zdaje mi się z jej słów można było wnosić że udała się tam dla spotkania się z mężem. Może się mylę ale ta rozmowa naprowadziła mnie na tę myśl.

— Mogę zaświadczyć, rzekł Karol zbliżając się, że mistress Grey jeździła rzeczywiście do Londynu, gdyż traf zdarzył że jechałem z nią w jednym wagonie.

Łucya zwróciła na niego oczy gdy to mówił; nic w całej jego postawie nie zdradzało najlżejszego zmieszania; głos był tak spokojny jak gdyby mówił o zupełnie obojętnej mu osobie. Twarz jej przeciwnie była martwo blada.

— Więc jechałeś z nią sir Karolu! zawołał doktór. Czy mówiła że jedzie do męża?

— Nie, nie mówiła do mnie nic podobnego. Na dworcu lońdyńskim wsadziłem ją do kabrioletu, i nie wiem gdzie pojechała. To tylko pamiętam że dzień był nie tylko gorący ale skwarny.

— Mniejsza zresztą o to dla jakiego powodu udała się do Londynu na *parę dni*, dość że pojechała tam w dniu nadzwyczaj gorącym, i to zmęczyło ją tak bardzo, że od tego czasu była ciągle cierpiąca. Tego panicza któremu się podobało przywędrować teraz na świat, spodziewano się dopiero za parę miesięcy.

Łucya podniosła się nagle i wyszła z pokoju. Karol odprowadził ją wzrokiem, śmiertelna bladość jej twarzy zwróciła jego uwagę.

— Czy dziecko zdrowe? zapytał doktora.

— Zupełnie, chociaż nadzwyczaj drobne ale mistress Grey jest bardzo chora.

— Bardzo chora! zawołał Karol.

— Tak, a nie ma tam ani garde-malade, ani też nikogo coby ją pielęgnował.

— Czy można jednak mieć nadzieję że odzyska zdrowie? zapytał Karol.

— Tak się zdaje.

Miss Blake przypatrywała się uważnie rozmawiającym i nabrała przekonania że Karol stał się mistrzem w sztuce udawania.

— Idę natychmiast do Labiryntu, rzekł doktór, szedłem tam właśnie, sir Karolu, gdyś mnie spotkał i przyprowadził tu z sobą. Dobry wieczór, miss Blake.

Odszedł, a sir Karol odprowadził go do bramy, poczem zaczął chodzić szybko około trawnika.

— Może i lepiej że się to już skończyło, mówił do siebie, oczekiwanie tej choroby tak było dla mnie dręczącem, stawało mi zawsze w myśli, ile razy tworzyłem plany wywiezienia Adama z Labiryntu. Skoro Róża wyzdrowieje, przynajmniej jedna przeszkoda zostanie usunięta. Ale, mój Boże! jakże to powiększa obecne niebezpieczeństwo. Moore bywa już tam obecnie... może wchodzić w każdej godzinie dnia... nawet i w nocy... Adam zaś jest tak nierozważny! Ha! cóż czynić? trzeba się pocieszać nadzieją że przez wzgląd na własne bezpieczeństwo, zechce być ostrożniejszym. Co się mnie dotyczy... jest to nowe zawikłanie, stawiające mnie w przykrzejszem jeszcze położeniu, dodał z westchnieniem. Teraz już nie ja, ale to dziecię staje się prawnym spodkobiercią; prawdopodobnie cały majątek przejdzie na niego. Biedna Łucya! widziałem jak silne wrażenie sprawiła na niej ta wiadomość. Tak, jej rozdrażnienie jest bardzo usprawiedliwione! Czy też ona zdaje sobie z tego dokładnie sprawę *kim* jest to dziecię i że nam odbiera Foxwood... i wszystko zresztą! Czemuż się ożeniłem! Czemuż miłosierne niebo nie przeszkodziło temu związkowi!

Gdy czterdzieści ośm godzin temu, Anna Hopley przybiegła do doktora i uwiadomiła go z jakiego powodu jej pani potrzebuje pomocy jego, pan Moore zadziwił się bardzo, gdyż nie przypuszczał nigdy aby mógł być wezwanym w tym celu do Labiryntu. Może w pierwszej chwili powstała w jego umyśle jakaś wątpliwość co do mistress Grey, ale był to człowiek zacny i dobry, i przyjął to sobie za zasadę aby nie domyślać się złego tam gdzie dobre było możliwem, dla tego też zaledwie zobaczył mistress Grey i mówił z nią chwilkę, nabrał przekonania że była uczciwą kobietą. Dziecię przyszło na świat nazajutrz rano, i od tego czasu doktór, jak Karol słusznie domyślał się tego, wchodził o każdej porze go Labiryntu, a Anna Hopley wprowadzała go zawsze i odprowadzała. Udając się tam tego wieczora, po przytoczonej powyżej rozmowie, usiłował odgadnąć co sobie miss Blake wbiła w głowę i czemu z taką złością mówiła o Labiryncie.

Upłynęło cztery dni, doktór bywał u chorej parę razy na dzień i nie przyszło mu nawet na myśl aby ktoś inny prócz osób które widywał codzień znajdował się w Labiryncie. Anna Hopley zajmowała się troskliwie panią i dzieckiem; stary ogrodnik pracował zawsze w ogrodzie. Szóstego dnia pan Moore znalazł chorą znacznie gorzej, miała silną gorączkę.

— Czy ją co rozdrażniło? zapytał odprowadzając Annę na stronę.

— Zmęczyła się trochę wczoraj, odpowiedziała nierozważnie służąca.

— Czem takiem?

— Rozmową, jak sądzę.

(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 26.

N. 1. Ubranie spacerowe.

W okryciu dopełniającem ubranie spacerowe na ryc. 1, odrobionem z ciężkiego czarnego atłasu, zasługuje na uwagę forma pleców, przedłużonych w dwa zęby złożone wachlarzowo. Przody są 84 cent. długie, z boków zaś przez założenie 4 fałd w podpięciu à panier, skręcają się do 60 cent. Całkowita długość pleców wynosi 107 cent.; przy każdej połowie od wcięcia stanu dodane 53 cent. na szerokość, co tworzy fałdy zębów, przy brzegu środkowym oszytych koronką hiszpańską 8 cent. szeroką. Dolmanowe rękawy przemarszczone u dołu, zdobne koronką i kokardami; kołnierz stanowią trzy rzędy hiszpańskiej koronki, przedłużone z przodu chusteczkowo. Kokardy z wstążki atłasowej 6 $^1/_2$ cent. szerokiej. Kapelusz czarny słomkowy, ogarnirowany sutą riuszą koronkową i przybrany atłasową wstążką dwukolorową.

N. 2. Suknia z fałdowaną draperyą.

Spódnica z lekkiej materyi zakończona kaszmirowem plisowaniem 5 cent. szerokiem. Gładkie bryty spódnicy przecięte są w trzech miejscach wzdłuż na 40 cent. i dopełnione plisowaniem z materyi w pasy; brzegi przecięć oszyte haftem szwajcarskim 8 cent. szerokim odwiniętym na wierzch. Fałdowana draperya dana z bryta 122 cent. szerokiego i przepięta z przodu skośnie brytem z materyi w pasy, 50 cent. szerokim sfałdowanym do 15 cent. szerokości. Suto podpinany bryt tylny ma również przypięcie z materyi w pasy dodane nakształt szarfy. Wzdłuż przodów stanika naszyty plastron w pasy; kołnierz i mankiety z haftu i koronki. Kapotka z żółtej słomki, podszyta niebieskim aksamitem i zdobną piórami.

N. 3—4. Chusteczka trójkątna robiona na drutach.

Odrobiona z białej włóczki jedwabnej i angielskiej, liczy przy górnym brzegu 170 cent długości, z brzegów prostych po 94 cent. a w środku 53 cent. szerokości, frendzla wiązana jest 18 cent. długa. Na ryc. 4 podajemy próbkę roboty tła w naturalnej wielkości; boki chusteczki zakończone są jednym rzędem szydełkowej roboty z włóczki angielskiej a brzeg górny obrobiony ząbkami z włóczki jedwabnej wziętej we dwoje.

N. 6. Suknia zdobna koronką.

Rycina 6 przedstawia spódnicę od sukni jedwabnej, której przód i boki ułożone w kontrafałdy po 6 cent. szerokie, u dołu wycięte w kontrafałdy i oszyte koronką 8 cent. szeroką, z pod koronki przebija plisowanie 10 cent. szerokie. U góry dane upięcie à panier, złożone w fałdy, z tyłu dopełnione podpięciem z prostego bryta idącem nad trzema marszczonemi falbankami, po 20 cent. szerokiemi, objętemi u dołu rulonikiem z materyi.

N. 7. Serweta wyszywana na płótnie.

Tło z mocnego białego płótna, liczy 160 cent. szerokości a 184 długości; wspaniały deseń wyszyty dwoma rzędami ściegu łańcuszkowego, w kolorze drzewnym w dwóch cieniach. Środki deseniu zapełniane są różnorodnemi ściegami; po za tłem środkowem dana gruba niciana wszywka koronkowa 10 cent. szeroka; frendzla z nagłówkiem liczy 15 cent.

N. 8—9. Modne rękawiczki.

Rycina 8 przedstawia rękawiczki ulubioną formą mousquetaire z żółtawo bronzowej duńskiej skórki, 46 cent. długie. Na ryc. 9 widzimy czarne jedwabne rękawiczki ozdobione haftem płaskim w kolorze oliwkowym i niebieskim.

N. 10 Czepek zdobny kwiatami, dla osoby w wieku podeszłym.

Do paska sztywnego tiulu 48 cent. długiego, w środku 4 cent. szerokiego, stanowiącego podstawę czepeczka przyczepia się denko z czarnego gładkiego tiulu, pokryte białym deseniowym tiulem, zaokrąglone z kwadratowego kawałka 34 cent. długiego; u dołu denko zmarszczone jest na elastykę. Na denko spada trójkątny kawałek tiulu zagarnirowany blondyną 3 $^1/_2$ cent. szeroką. Do twarzy dany garnirunek z riuszy blondynowej i tiulowej, przedzielonej w środku lekko przewiniętą wstążką. Bukiet z bzu lila; końce do wiązania po 62 cent. długie z wstążki białej atłasowej 10 cent. szerokiej.

N. 11. Czepek ubrany wstążką dla dam niemłodych.

Fason czepeczka stanowi kawałek sztywnego czarnego tiulu, 47 cent. długi, w środku 6 z brzegów 2 cent. szeroki, nad czołem w ząb zaszyty, do którego w odstępie 4 cent. od końcowych brzegów, przyszywa się w równe fałdki zaszyte podwójne, czarne denko tiulowe, mające 36 cent. długości a 28 szerokości. W dolny brzeg denka (mający 28 cent.) nawłóczy się 16 cent. długą tasiemkę elastyczną. Zwierzchnie denko było z białej hiszpańskiej koronki w bogaty deseń jedwabny. Do garnirunku służy 6 cent. szeroka hiszpańska koronka, koło twarzy podszyta wązką riuszą tiulową, z wierzchu na czółku wachlarzowo naszyta, przepinana pukielkami i końcami ze wstążki 4 cent. szerokiej. Końce i przewinięcie z brzegu na czółku dane w jednym ciągu ze wstążki 8 cent. szerokiej.

N. 12. Kwadrat z siatki gipiurowej.

Stosownie do przeznaczenia kwadratów, deseń wyszyty być może nićmi płaskiemi i koronkowemi białemi lub écru, albo kolorowemi jedwabiami. Na tło służyć także może siatka fabryczna lub kanwa siatkowa.

N. 13—15. Dwa żaboty.

N. 13. Żabot z materyi i koronki.

Zrobiony był z materyi blado-żółtej jedwabnej, w paski ażurowe i z koronki 8 cent. szerokiej; trójkąt z materyi trzymający w skośnych brzegach 9 cent. oszywa się w koło koronką i układa sposobem wskazanym, boczny węzeł jest z kawałka skośnego 8 cent. szerokiego a 20 długiego także koronką oszytego i z końca prostego sfałdowanego także koronką oszytego, które łączy węzeł z materyi lub koronki.

N. 14. Żabot z muślinu i koronki.

Koronkę saską 7 $^1/_2$ cent. szeroką, wyszyć można podług próbki którą daliśmy w N-rze 25 na ryc. 4. Żabot składa się z 3 oddzielnych kawałków muślinu indyjskiego kremowego koloru; część główną stanowi kawałek muślinu trzymający 50 cent. w kwadrat, któren składa się podwójnie przez środek, część zwierzchnią się zaokrągla, fałduje na złożeniu i przyszywa do kawałka sztywnego tiulu. Dwa proste kawałki muślinu 54 cent. szerokie a 12 cent. długie, oszywa się u dołu koronką, fałduje i przyszywa do sztywnego tiulu, w sposób wskazany na ryc. 14.

N. 15. Suknia z haftowanemi falbankami

Suknia z bronzowej satynki ma spódnicę zagarnirowaną 8 miu 12 cent. szerokiemi, marszczonemi falbankami, ażurowo haftowanemi w maszynie. Panier bez garnirunku, podchodzi z tyłu pod krótką draperyę; do stanika z bawełnem wstawiony drobno plisowany plastron, zakończony po brzegach haftem, któren zdobi także rękawy z boku otwarte.

N. 46. Suknia ze stanikiem bawełnianym, sznurowanym.

Model odrobiony był z materyału gładkiego i deseniowego, przy staniku w miejscu panier dany garnirunek z gładkiego materyału, w górze drobno plisowany i zastębnowany, u dołu jak falbana puszczony. Także garnirunek zakończony nagłówkiem z jedwabną podszewką, zdobi spódnicę, do której z tyłu dodana krótka draperya z bryta prostego. Stanik bawełnowy i garnirunek górny z przodu, sznurowany na sznur jedwabny. Przy wykroju szyi dana wązka falbanka i mały stojący kołnierzyk z wywiniętemi rogami.

N. 21. Suknia z szarfą dla małej dziewczynki.

Bluzkowa sukienka z białego batystu zakończona jest haftem maszynowym 20 cent. szerokim; kołnierzyk i mankiety dane z haftu 10 cent. szerokiego a z boków plastronu dany haft 7 cent. szeroki. Szarfa z kolorowej jedwabnej wstążki.

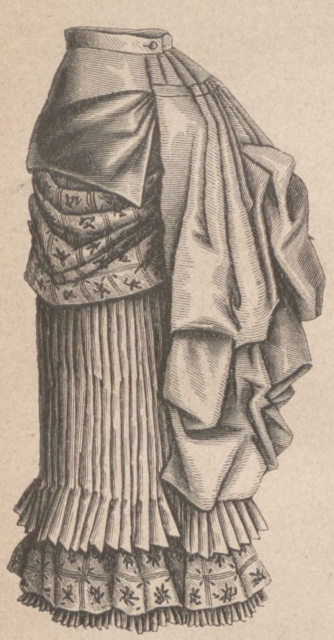


N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1. Ubranie z płaszczykiem. N. 2. Ubranie z fałdowaną draperyą.

N. 22. Ubranie dla małego chłopczyka.

Sukieneczka z ciemno-bronzowej bawełnianej satynki, ma przód założony w podłużne fałdki na szerokości 20 cent., takież fałdki założone są i na plecach z boków przy zapięciu. Dolną połowę sukienki stanowi plisowana falbana 14 c. szeroka, oszyta szlakiem w maszynie haftowanym 11 cent. szerokim. Zamiast szarfy dane fałdowanie z jednej strony przytrzymane patką ze wstążki, z drugiej upięte kokardą. Skośne przepięcie przerzucone przez lewe ramię dane z pasa haftu 11 cent. szerokiego.



N. 5. Spódnica z draperyą fartuszkową do r. 23.

N. 23 i 5. Suknia z tuniką.

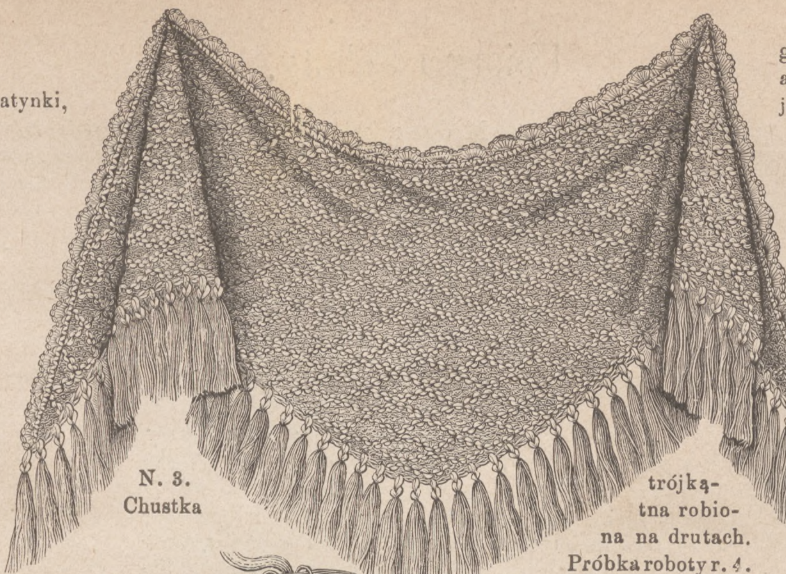
Odrobiona z blado-niebieskiego gładkiego i z ciemno-granatowego deseniowego voile religieuse i przybrana atłasem. Spódnica zakończona deseniowym wolantem jest cała zaplisowana w drobne fałdy; z przodu ma tuniczkę fartuszkową w górze podszytą atłasem wyłożonym na wierzch podług r. 5. Upięcie tylne wymaga dwóch brytów po 56 cent. szerokich, 108 długich przy pasku zebranych w ściśle fałdy, poniżej podpiętych w odstające bufy. Krótki stanik z deseniowego materyału ma z przodu baskinę ściętą w dwa zęby, z tyłu zaś wachlarzowe upięcie z atłasu. Kołnierz granatowy aksamitny oszyty koronką 8 cent. szeroką, spuszczaną w rodzaj fałdowanego żabotu.



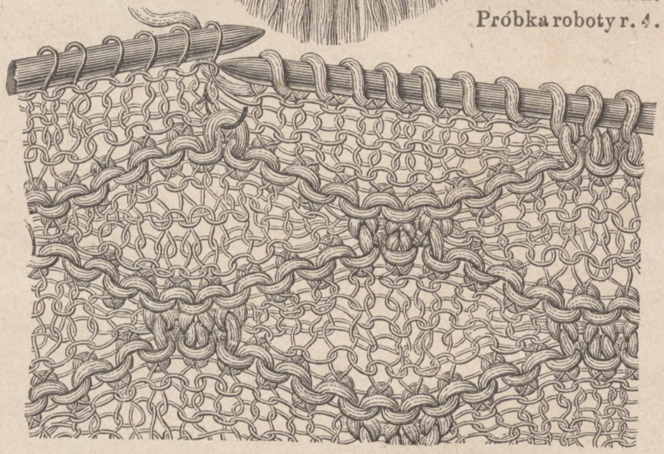
N. 6. Spódnica do sukni garnirowana koronką.

N. 25. Kołnierz z materyi surah i koronki.

Potrzeba na niego skośnego kawałka materyi koloro-



N. 3. Chustka trójkątna robiona na drutach. Próbka roboty r. 4.



N. 4. Próbka roboty na drutach do chustki ryc. 3.



N. 7. Serweta haftowana na płótnie.

wej, 20 cent. szerokiego, 100 długiego, z boków i u dołu oszytego koronką, w odstępie 2 cent.; od dołu pięć razy drobniutko przemarszczonego do 66 cent. długości. Górny brzeg założony w nagłówek 2 cent. szeroki, przemarszczony pięć razy do 43 cent.; poniżej przemarszczenia dany drugi rząd koronki. W nagłówek nawleczona wstążka 2 cent. szeroka, związana w kokardę.



N. 10. Czepek ubrany kwiatami dla niemłodych dam.

N. 26. Kołnierz haftowany.

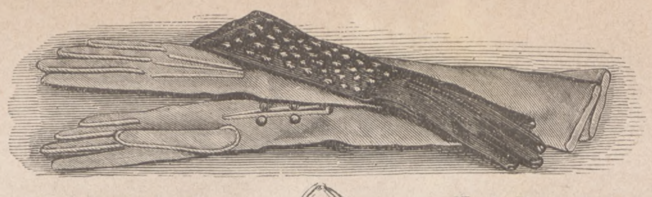
Uszyty jest na podstawie muślinowej, 14 cent. szerokiej, u dołu 94, u szyi 43 cent. obwodu mającej, z falban haftowanych w maszynie 7 cent. szerokich. Wykrój szyi otacza wązka pliska, która przytrzymuje również kołnierzyk stojący 4 cent. szeroki.

N. 29. Zarzutka ze szneli i koronki.

Zarzutka 102 cent. długa licząc w to frendzlę sznelową 16 cent. szeroką, składa się ze szneli, wązkiej torsadki, z perełek i z koronki hiszpańskiej. Wykrój szyi otacza suta riusza sznelowa, związana morową wstążką.

N. 30. Mantylka z koronkowemi końcami.

Ma formę zaokrąglonej pelerynki dochodzącej do pasa, uszytej z czarnego atłasu, założonej poprzecznie w trzy fałdy po 8 cent. szerokie, przedzielane rzędami marszczonej, hiszpańskiej koronki. Garnirunek dolny stanowi koronka i frendzla z perełek 10 cent. szeroka, mieszana ze sznelą. Szalik koronkowy zdobiący brzegi przednie, liczy 250 cent. długości a 18 szerokości; u dołu oszyty również frendzlą. Na głowie kapotka dżetowa, podszyta kolorową materyą, zdobna dyademem z kwiatów.

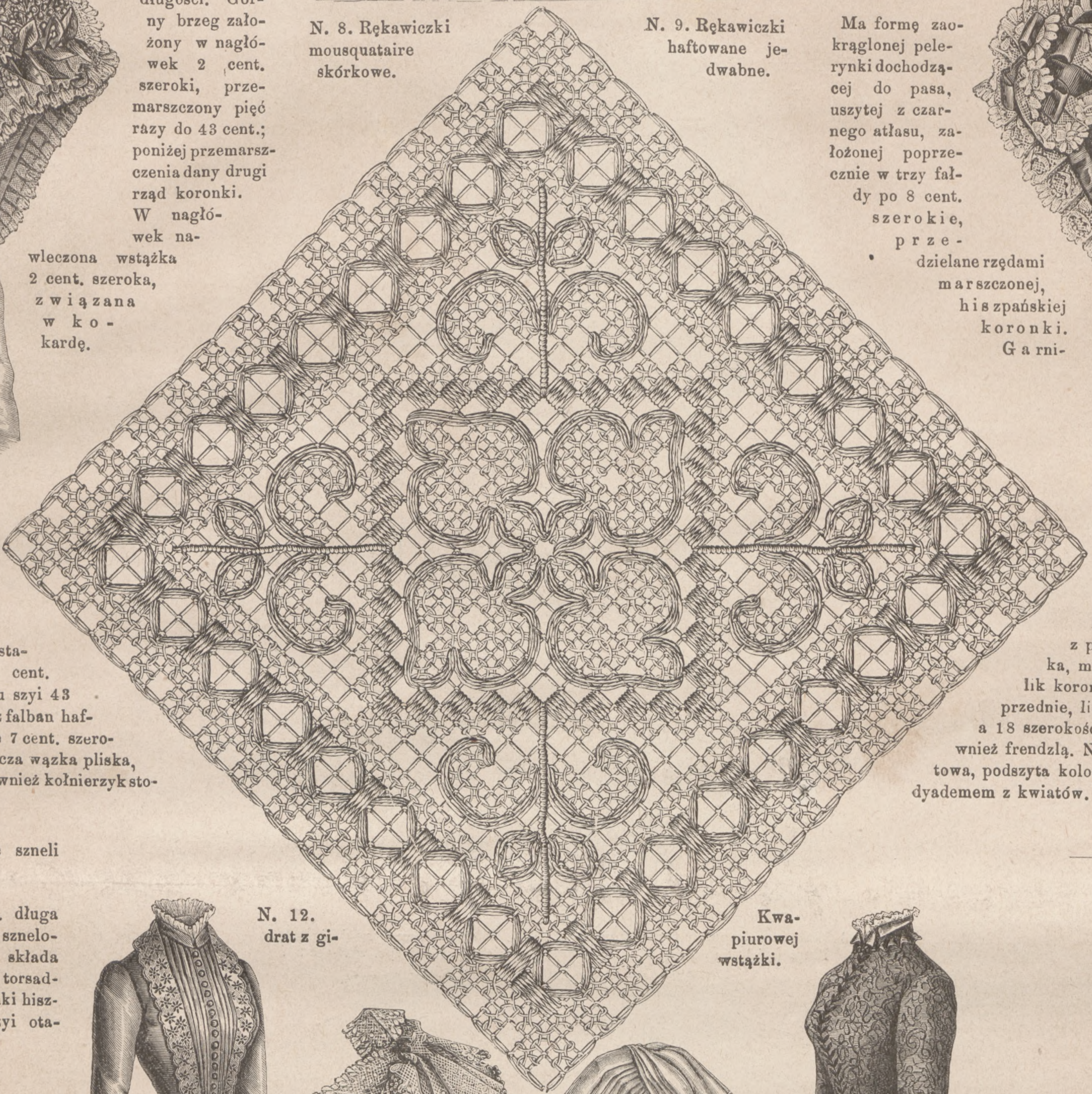


N. 8. Rękawiczki mousquataire skórkowe.

N. 9. Rękawiczki haftowane jedwabne.



N. 11. Czepek ubrany wstążką dla niemłodych dam.



N. 12. drat z gi-

Kwa-piurowej wstążki.



N. 13. Żabot z materyi w paski i koronki



N. 14. Żabot z indyjskiego muślinu i koronki.



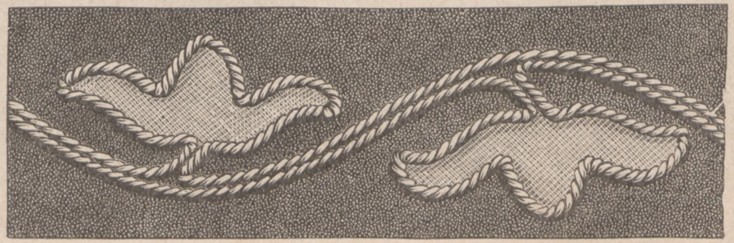
N. 17. Suknia z podwójnem panier. Patrz przód na ryc. 30 w N-rze 25.



N. 15. Suknia z haftowanemi wolantami.



N. 19. Haft na poduszkę do kanapy. Patrz szlaczek ryc. 20 i część desenia w naturalnej wielkości na ryc. 34. w N-rze 25.



N. 20. Szlaczek do haftu ryc. 19.



N. 16. Suknia ze stanikiem bawetowym sznurowanym.



N. 18. Suknia ze stanikiem do paska i draperyą. Patrz ryc. 31 i 33 w N-rze 25.



N. 21. Sukienka z szarfą dla małej dziewczynki.



N. 23. Suknia z draperyą fartuszkową Patrz spódnicę na ryc. 5.

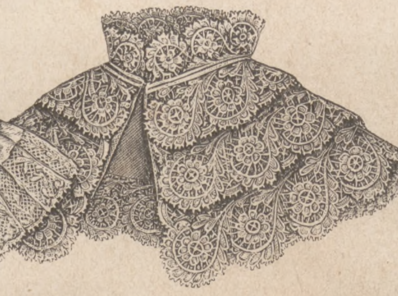
N. 24. Suknia z draperyą z dwóch stron odmienną. Patrz ryc. w N-rze 25.



N. 22. Sukienka haftowana dla małego chłopczyka.



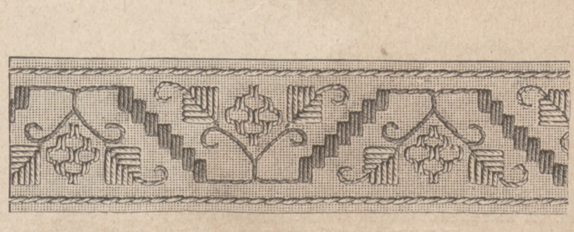
N. 25. Kołnierz pelerynkowy z surah i koronki.



N. 26. Kołnierz pelerynkowy z falban haftowanych.



N. 27. Trzewik spacerowy z kokardą.



N. 28. Szlaczek do haftu płaskiego i sznureczkowego jedwabiem w dwóch cieniach jednego koloru.



N. 29. Mantyla z koronek i szneli.



N. 30. Mantyla z koronkowemi końcami.